

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

27. X. 1957 r.

Nr 25

CENA ZŁ 1.50

J E S I E Ń 1 9 5 7



Paryż pozazdrościł sławy sztucznemu satelicie i lansuje rewelacje w dziedzinie... mody kobiecej. A więc — koniec z długimi sukienkami. Modne są tylko tuż poza kolana.

Wydano również wojnę wydatnym blustom i szerokim biodrom. Czyżby zanosilo się na zmierzch dwóch pań — Lollobrigidy i Loren?

Ale — nowa moda na sylwetkę chłopięcą na pewno nie przyjmie się w takim zakresie, jaki proponują jej paryscy dyktatorzy. Wystąpili bowiem przeciwko niej... mężczyźni. Czy panie zechcą zrezygnować z męskich zachwyków?

Reprodukujemy kilka modeli płaszczy jesiennych z najnowszego numeru „Vogue'a”. Jak Wam się podobają?



Na tarasie kawiarni na wieży Eiffla w Paryżu urządzano co wieczór „poutnik-party”. Nawet szef kuchni porzucił swoje stanowisko służbowe, aby tylko nie przegapić wyjątkowej okazji...

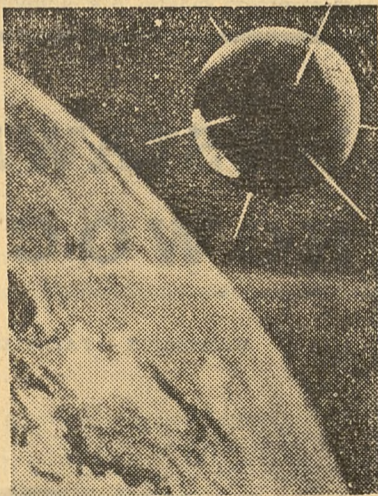
KTO POWIE: — WIDZIAŁEM PIERWSZY OBROTY KULI ZIEMSKIEJ

Działo się to z początkiem tego października — w Barcelonie. Międzynarodowy kongres astrofizyków i astronautów miał właśnie rozpocząć obrady. Do Barcelony zjechało 235 uczonych, specjalistów tej najnowocześniejszej dziedziny nauki i techniki.

W porcie lotniczym stolicy Hiszpanii wylądował samolot. Stewardessa otworzyła drzwi od kabiny i pasażerowie zaczęli wychodzić na peron. Jeden z nich szpakowaty mężczyzna, ubrany z wytworną skromnością zatrzymał się na chwilę. Powolnym ruchem zdjął okulary i flegmatycznie przecierał ich przejrzyste szkła. W jego zmęczonych podróżną, bystrych oczach błędził ledwo dostrzegalny ognik uśmiechu. Był to profesor Leonid Iwanowicz Siedow, członek pięciosobowej grupy radzieckich uczonych, która przybyła na kongres. Nikt w tym momencie nie domyślał się, że...

ocą dnia 4 października zabłysnął na firmamencie pierwszy sztuczny satelita. Było to na dwa dni przed rozpoczęciem obrad kongresu. Lakoniczne, oficjalne komunikaty agencji TASS o tym epokowym wydarzeniu, pierwsze sygnały radiowe sztucznego księżycza obiegły już cały świat. Zelektryzowały one wszystkie kontynenty. Ale prasa hiszpańska milczała. Milczała 24 godziny.

Niesposób jednak było przemilczeć ten wielki sukces radzieckiej nauki. Tej prawdy nie dało się ukryć. Zabrał więc głos w tej sprawie sam gen. Franco. Na uroczystości otwarcia jednej z fabryk w Katalonii zmuszony był oświadczyć: ten sukces jest rezultatem jedności politycznej i dyscypliny narodu rosyjskiego. („cette réussite est le resultat de l'unité politique et de la discipline du peuple russe” według



relacji tego oświadczenia w prasie francuskiej).

Delegacja radziecka na kongresie stała się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Posypały się gratulacje, życzenia i grad pytań.

Profesor Siedow uśmiechał się filuternie zza swoich szkieł. Ten skromny, flegmatyczny człowiek, twórca pierwszego sztucznego satelity stał się bohaterem naszych czasów. Nazwano go „ojcem małego księżycza”. Podczas uroczystego bankietu prof. Siedow otrzymał w darze ogromny tort urodzinowy. Był to wysoki model trójstopniowej rakiety, kryjącej w swym wnętrzu model „Sputnika”. Wykonana była z masy czekoladowej. Sputnik obchodził swoje pierwsze urodziny w

doborowym gronie najtęższych mózgów świata.

Tymczasem sztuczny satelita zaczął okrążyć ziemię torem, wyznaczonym przez myśl i wolę człowieka. Jego lot gromadził przy odbornikach radiowców całego świata. Anteny wychwytywały z kosmosu sygnał radiowy nowej ery, krótkie znaki pi-pi-pi-pi... Lunety obserwatorów czujnym okiem wpatrywały się w niebo, szukając drogi małego księżycza. Aparaty oscylacyjne rejestrowały jego sygnały na oscylografach i taśmie filmowej.

Na tarasie zaś kawiarni wieży Eiffla w Paryżu, pomysły przedsiębiorca urządził co wieczorne „sputnik party”, dostarczając gościom lunet i lornetek. Nawet szef kuchni opuścił na chwilę stanowisko służbowe, byle tylko ujrzeć satelity.

W Nowym Jorku kurs akcji przemysłu lotniczego i zbrojeniowego drgnął i zaczął spadać, w Pentagonie sztabowcy ulegli nagłemu zdenerwowaniu.

A w Moskwie? W Moskwie w tamtych dniach nauka wyszła na ulicę. Na spotkanie z przechodniami. W niektórych punktach miasta uczni, członkowie Akademii Nauk tłumaczyli ciekawym i wzruszonym prze-

chodniom trajektorie „Sputnika”, jego konstrukcję i inne arkana astronautyki. Wszystko to odbywało się przy wielkich makietach globu ziemskiego z zaznaczoną drogą sztucznego księżycza.

Prasa światowa przez wiele dni żyła strawą tej sensacji na miarę historii. „Sputnik” nie schodził z czołowych kolumn dzienników. Różne były ich opinie. Najbardziej chyba mogą je zilustrować dwa charakterystyczne, spośród tysięcy, tytuły: MOSKWA STOLICĄ KOSMOSU — pisał Paris Match, inna znów gazeta alarmowała opinię: AMERYKAŃSKIE BŁĘDY — FORMALIZM, SKNERSTWO, POWOLNOSC. W tych ekstremistycznych tytułach zamknięta jest cała prawda o znaczeniu „Sputnika”.

Za ile lat człowiek dotrze do księżycza — krainy wielkiego milczenia?

Na wiele pytań nauka już dzisiaj daje odpowiedź. Ktoś nazwał księżyc krainą wiecznego milczenia. Nie ma

CIĄG DALSZY

NA STR. 2-GIEJ

Zarówno o Niemczech wschodnich, jak i o zachodnich pisało się u nas sporo: zwłaszcza Republika Federalna doczekała się szeregu artykułów pióra naszych literatów i dziennikarzy, którzy zwiedzali ją w ostatnim roku. Zdziwianą mała natomiast, a właściwie nie pisało się o Berlinie, tym jedynym mieście świata, w którym można za dwa dziesiąta fenigów — bo taka jest cena biletu kolejki — przejechać, bez wizy, do innego państwa, mało tego, przenieść się z jednego, socjalistycznego, do drugiego, kapitalistycznego systemu ustrojowego.

Berlin zachodni stanowi zamkniętą ze wszystkich stron enklawę republiki bońskiej wewnątrz NRD, istniejącą na szczególnych prawach, i w większym stopniu, niż jakakolwiek inna część Niemiec zachodnich, podwładną zarządowi okupacyjnych władz wojskowych; ma on swój własny statut prawny, który m. in. zabrania jego mieszkańcom brania udziału w bońskich wyborach. Łączy go z zachodem autostrada, kolej, oraz drogi powietrzne; przeważająca część dóbr i produktów, które spożywają zamieszkujące go dwa miliony dwieście tysięcy mieszkańców przybywa doń stosunkowo długą drogą z zachodu, a mimo to uważany jest on za miasto „tanie” w stosunku do innych miast Niemiec zachodnich; powinno być przeciwnie, jeśli wziąć pod uwagę dodatkowe koszty transportu oraz inne trudności, wynikające ze specyficznej sytuacji swobodnego „obłożenia”, a w każdym razie odciecia — jednakże rzeczy mają się tak, że, w dziedzinie gospodarczej, a także — w pewnej mierze — politycznej — właśnie Berlin zachodni znajduje się w „obłiwie”, „ofensywie” wobec NRD. Politycznie — albowiem stanowi on, w całym tego słowa znaczeniu, „okno wystawowe” zachodu, a urządzone w nim imprezy (jak „Berliner Festwochen”, czy wielka wystawa architektury „Interbau”) są obliczane w znacznej mierze na przybyszów i gości z Berlina wschodniego i Republiki; gospodarczo — albowiem to niezwykle miasto w mieście stanowi swoistą „pompe”, odciągającą nieustannie znaczne

ilości marki wschodniej. To była niewątpliwie jedna z przyczyn, jakie spowodowały niedawną wymianę marki wschodniej; dopiero dłuższy pobyt i dokładniejsza obserwacja pozwala stwierdzić, w jakiej mierze jest Berlin zachodni nastawiony na specyficzny „wyzysk” swego socjalistycznego otoczenia. Trzeba najpierw powiedzieć, że miasto nie jest rozdzielone zupełnie; obie jego części łączą zarówno koleje nad-

ziemne, dalek zaś ciągną się latarnie, typowe dla większych ulic Berlina zachodniego — zagięte nad jezdnią na kształt parabolicznych pochylonych, niby rosą obciążonych lśosów, opatrzonych długimi jarzemiówkami.

Około 40.000 mieszkańców Berlina wschodniego pracuje w zachodnim i stąd kolej nadziemna i podziemna jest bardzo używanym środkiem lokomocji między obu miastami; wie-

meni”; kiosk z owocami południowymi, sprzedawanymi po cenach wręcz horendalnych w stosunku do cen na innych ulicach, odleglejszych od „dobrego punktu”, jakim jest stacja kolejki; z prasą i książkami w rozmaitych językach; z wszelką tandetą pamiątkarsko-„egzotyczną”, w rodzaju zapalniczek-rewolwerów, kosmetyków, specyfików, oto tylko przykładowa próbka, nie oddająca w żadnej mierze „kolorytu lokalne-

przez nią ze wschodu na zachód i odwrotnie — przy czym trudno sobie wyobrazić, aby którykolwiek z podróżnych wysiadających na tej stacji, zamierzał zwiedzić wyłącznie położony w jej pobliżu (jak świadczy o tym nazwa) Ogród Zoologiczny. Jest to stacja przeladunkowa szmuglerów. Ze wschodu szmuglują się wyroby optyczne, aparaty fotograficzne, precyzyjne, artykuły spożywcze (jak np. owoce), z zachodu — to wszystko, co zwięźle a precyzyjnie określa w naszym języku piękne słowo „ciuchy”. Lista ta nie ma oczywiście pretensji do zupełności, ani też nawet nie obejmuje zapewne towarów najbardziej „popłatnych” z tej prostej przyczyny, że nie dane mi było zetknąć się ze środowiskiem szmuglerów, tak więc polegać muszę jedynie na przelotnych obserwacjach, siłą rzeczy dość zawodnych.

Na każdej stacji metra, bądź w jej pobliżu, znajduje się kantor wymiany marek wschodnich na zachodnie (i odwrotnie); wbrew rzeczywistej sile kupna, która dla większości artykułów równia się 1:1, a tylko przy niektórych pozycjach, jak np. buty, wykazują zwykłą siłę kupna na zachodzie, otóż wbrew tej realnej relacji, marka wschodnia w kantorze wymiany „warta jest” ledwo około 1/4 części marki zachodniej. Trzeba powiedzieć, że kantory te wciągają olbrzymie ilości marki wschodniej; świadczyć o tym mogą stale niemal stojące przed okienkami wymiany ogonki. W tym świetle zrozumiałe jest, że wymiana pieniędzy zadawała tym osobliwym, bo prawem kaduka działającym instytucjom quasi-bankowym, cios niezmiernie bolesny.

Jakże tedy wygląda Berlin zachodni? Łatwo odpowiedzieć na to pytanie, jeśli się w nim było raz, i to parę godzin; wówczas niechybnie widziało się Kurfürstendamm z jego wspaniałymi wystawami i domami towarowymi, i można odjechać w spokojnym przekonaniu, że taki właśnie jest cały Berlin. Rzeczywistość jest wszakże bardziej prozaiczna. Berlin zachodni jest — jak i wschodni — pokryty wielkimi pustkowiami ruin i nieodbudowanych placów. Istnieje rzadziej wyspy nowego budownictwa, ciągi nowych domów, tu i ówdzie — nowoczesna zabudowa; lecz na ślady zniszczeń wojennych natyka się przechodząc przy każdej dłuższej wycieczce.

(c.d.n.)

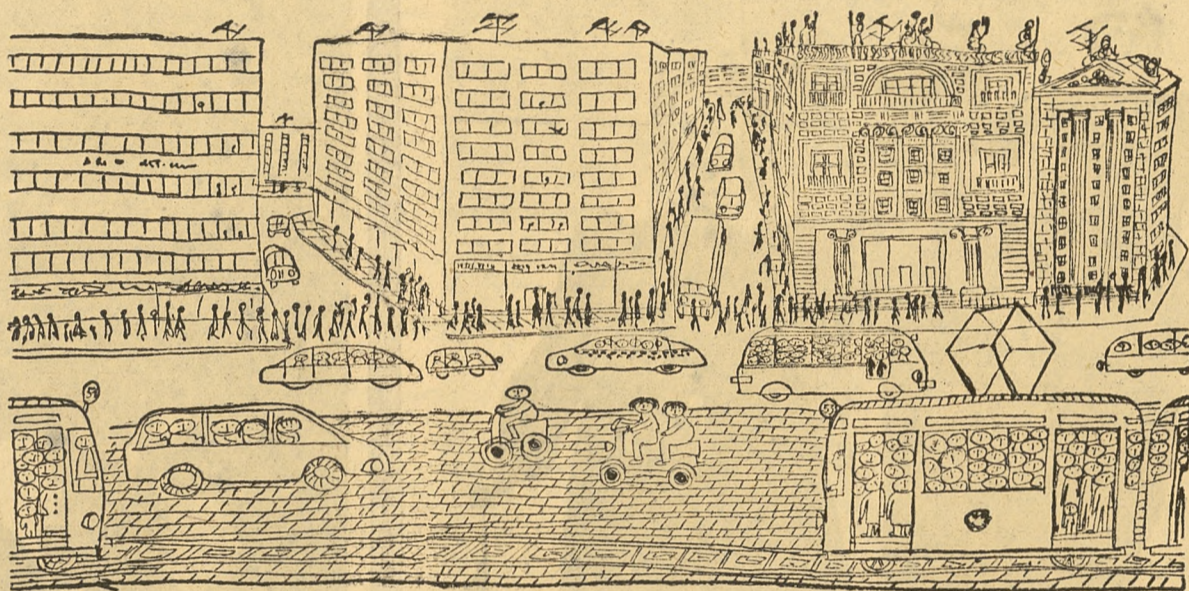
FELIETON BERLIŃSKI

ziemne, posiadające wspólny dla obu części zarząd, jak i kolej podziemna; nadto można z jednej części do drugiej przejechać autem, bądź też przejść pieszo; podobnych arterii przelotowych jest szereg, ale najbardziej znana i używana biegnie ze wschodu przez Unter den Linden i Brandenburger Tor na zachód; to Brama Brandenburska, odbudowywana obecnie przez wschód, stanowi granicę, w dziwny sposób ucinającą rzędy kamiennych latarni, przypominających mocno emde-

le świadczy wszakże o tym, że to nie tylko pracujący składają się na tłumy, jeżdżące codziennie na wschód i na zachód. Wszystkie większe, a zwłaszcza węzłowe stacje kolejki nadziemnej (S-Bahn), jak i metra (U-Bahn), obsiadnięte są w otaczających ulicach przez specyficzny rodzaj przedsiębiorstw, które powołał do życia i utrzymuje w stanie „kwitnym” fakt podziału miasta i związane z tym różnice walut i zaopatrzenia. Mnóstwo sklepików i sklepów, reklamujących „kupno-sprzedaz złota, srebra, drogich ka-

go” tych dziwnych miejsc, stanowiących coś w rodzaju „ssawek” owej pompy, przez którą Berlin zachodni wysysa do swego wnętrza wielkie ilości waluty wschodniej.

Wyraźnie podejrzana, a niepodobna bynajmniej do tłumy „pracujących” jest i publiczność takich stacji; z których bodajże najrepreszentywniejszą jest Zoologischer Garten — oddalona o cztery ledwo przystanki od granicy sektorów; zwarty potok ludzi, często objuczonych zagadkowymi pakunkami, tobołami i walizami przetacza się



Rys. S. BERDAK

KTORY ZE ŚWIATOWYCH UCZONYCH FIZYKÓW ZASŁUGUJE, ZDANIEM PANA PROFESORA, NA NAGRODĘ NOBLA i dlaczego?

DZIŚ ODPOWIADA:

Prof. dr MICHAŁ HALAUNBRENNER

kier. Katedry Fizyki Politechniki Krakowskiej

Nagrodę Nobla za rok 1957 można by przyznać zespołowi uczonych radzieckich za wypuszczenie sztucznego satelity Ziemi.

Nie jest to wprawdzie odkrycie naukowe w rozumieniu nagrody Nobla, ale niemniej jest to wielkie osiągnięcie naukowo-techniczne, które — jak żadne inne dotychczas — spotkało się z natychmiastowym, rozległym i głośnym echem na całym świecie. Świadczą o tym depeche gratulacyjne ze strony Towarzystwa Królewskiego w Londynie, naukowych towarzystw amerykańskich, a nawet prezydenta Eisenhowera.

Taka nagroda byłaby również uznaniem zasług dla techniki, którą z fizyką łączy nierozzerwalne więzy. Fizyka jest matką techniki, ale doznaje od swojej pierworodnej córki nieustannego wsparcia i pomocy. Tylko tam, gdzie jest wysoka technika, możliwa jest dzisiaj wielka fizyka.

Wypuszczenie sztucznego satelity jest poważnym krokiem naprzód w kierunku urzeczywistnienia podróży międzyplanetarnych.

Na nagrodę Nobla zasługują również prace wykonane w Ameryce przez chińskich fizyków Yang'a i Lee obalające prawo parzystości, co w krótkim potem czasie potwierdziła doświadczeniem ich rodaczka pani Wu prof. fizyki przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Fizyk przy opisie zjawisk otaczającego go świata, postępuje się układem współrzędnych kartezjuszkowskich w postaci trzech prostych prostopadłych do siebie i przechodzących przez jeden punkt, zwany początkiem układu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ós pionową, którą oznaczmy literą „Z”, to dwie pozostałe osie X i Y leżą w płaszczyźnie poziomej. Obracając ós X w kierunku osi Y, to gdy obrót odbywa się w kierunku niezgodnym z ruchem wskazówek zegara, tj. ku lewej ręce — wówczas układ taki nazywa się lewoskrętny, w przypadku przeciwnym prawoskrętny.

Panowało powszechne przekonanie, że prawa przyrody są niezmiennicze przy przejściu jednego układu do drugiego. Nazywa się to w fizyce prawem parzystości.

Doświadczenia pani Wu wykonane nad pewnymi zjawiskami promieniotwórczymi potwierdzają przypuszczenia Yanga i Lee, że przyroda zdaje się odróżniać oba układy, co może stanowić początek nowego okresu rozwoju fizyki.

Dotychczas pomiędzy odkryciem a otrzymaniem nagrody Nobla upływał z małymi wyjątkami dość długi okres czasu. I tak np. Maria Curie Skłodowska odkryła polon i rad w roku 1898, a nagrodę otrzymała w roku 1911. Einstein za swoje odkrycia z roku 1905 otrzymał dopiero nagrodę Nobla w roku 1921.

Biorąc to pod uwagę, można także typować do nagrody Nobla zespół fizyków z Berkeley za odkrycie antyprotonów i antyneutronów.

(Dokończenie ze str. 1)
tam powietrza, więc nie ma żadnego dźwięku. Panuje nieprzenikniona cisza. Ale porozumieć będzie się można falami radiowymi.

Nie ma tam ciśnienia, a więc krew ludzka będzie wrzeć w temperaturze ciała. Ale człowieka ochronią skafandry, utrzymujące ziemskie ciśnienie i temperaturę.

Siła przyciągania jest na księżycu 6 razy mniejsza niż na ziemi. Człowiek o wadze 72 kg, będzie ważył na księżycu tylko 12 kg. Wielokrotne zredukowanie wysiłku ludzkiego może wywołać zanik mięśni. I na to znaleźć się rada.

Nieboskon księżycowy jest czarny jak atrament. Nie ma tam atmosfery, która rozprasza światło. Ale to umożliwi dokładne obserwacje innych ciał niebieskich.

Kto pierwszy powie: liwi dokładne obserwacje innych ciał niebieskich. Noc księżycowa trwa dwa tygodnie. Ale Ziemia świeci na księżycu światłem 24 razy silniejszym, niż księżyc na ziemi.

Na czarnym niebie będzie widać z księżycą kulę ziemską o kolorowych ładach i oceanach, powoli i bez przerwy obracającą się wokół własnej osi. Kto pierwszy z ludzi, podobnie, jak ów lotnik amerykański, który widział kulistość ziemi, będzie mógł powiedzieć: ja pierwszy widziałem na własne oczy obroty kuli ziemskiej. Uczniowie radzieccy oświadczyli na kongresie barcelońskim, że już kształcą pilotów, do podróży międzyplanetarnych. A więc?

Księżyc jest 30 razy mniejszy od

Ziemi, ale jego góry są o wiele wyższe, niż najwyższe szczyty Himalajów. Jakże skarby kryją w swych ostrej i stromych urwiskach? Ile milionów lat tak trwają, nieknięte deszczem ani wiatrem, nieuszkodzone erozją?

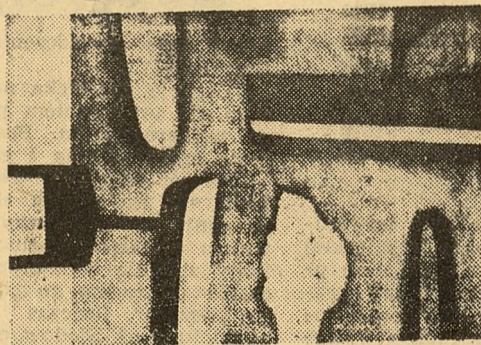
Jak wreszcie pokonać odległość dziesiątków tysięcy kilometrów do tej milczącej bryły? Czy podróż do niej z Ziemi będzie trwała tylko 2 dni?

Setki takich i podobnych pytań staje przed uczonymi całego świata. A przecież mówią oni, że dzień pierwszej podróży człowieka na księżyc już się zbliża. Mówią oni także, że możliwe jest na księżycu ludzkie osiedle a nawet budowa miasta. Ale o tym opowiemy w innym numerze „Zdarzeń”.

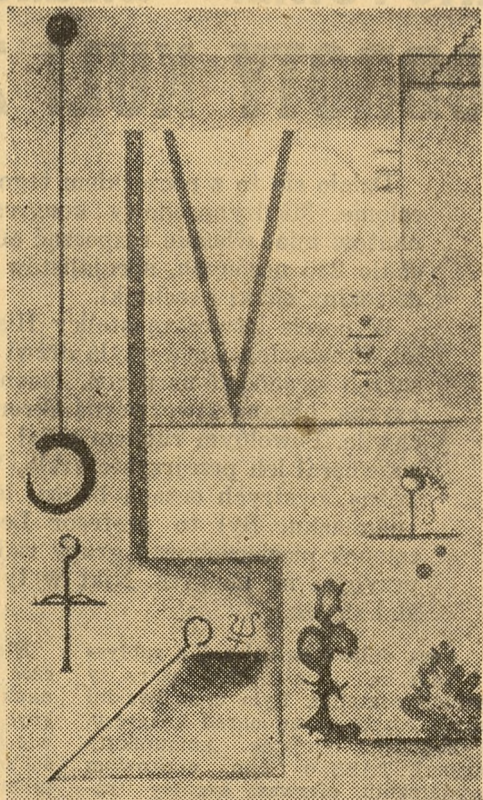
MIECZYŚLAW KIĘTA

WYSTAWA SZTUKI NOWOCZESNEJ

WARSZAWA — PAŹDZIERNIK — LISTOPAD 1957



Wnętrze” J. TARASIN



„Charaktery” J. KRAUPE-SWIDORSKA

WIERZĘ W PIEKŁO

Kobieta siedziała sztywno, znieruchomiała. Lekarz bezradnie rozłożył ręce.

— Trudno, proszę pani. To już czwarty miesiąc ciąży, na zabieg za późno.

Wyrok był ostateczny i nieodwracalny. Będzie musiała urodzić piąte dziecko, mimo przeciwwskazań lekarskich, mimo, że poprzednie porody następujące rok po roku, wyniszczyły jej organizm, mimo że gnieździ się w opłakanych warunkach w jednej izbie. Kobieta płacze — ma 25 lat, a wygląda na 40. Jest jeszcze jedną z tych, które zbyt późno trafiają do poradni świadomego macierzyństwa.

W PORADNI

Właściwie powinna się nazywać poradnią nieświadomego macierzyństwa. W 99 procentach zgłaszające się kobiety, przychodzą tu nie po poradę, lecz z mocno zaawansowaną ciążą. Rzecz charakterystyczna — wśród zgłaszających się — same młodziutki. Przeważa wiek — 28—35 lat. Jest zasadą, że wszystkie mają za sobą po kilka porodów.

— Pani doktorze złoty, niech pan ratuje. Ja mam sześcioro dzieci, nie mogę sobie pozwolić na jeszcze jedno. Jestem najwyżej w drugim miesiącu.

Podaje daty, chce koniecznie przekonać lekarza. Ale jego obojętnością jest zbadac.

— Niestety proszę pani, to już czwarty miesiąc. Na zabieg za późno. Mimo najszerszych chęci, niech pani zrozumie, nie wolno, nie mamy prawa. Zresztą to jest niebezpieczne, zagraża życiu.

— Jakto, więc mam urodzić siódmego dziecko? Dlaczego? Ja nawet się boję przyznać mężowi. Przecież już bez tego trudno powiązać koniec z końcem.

Kobieta jest zrozpaczona. Jej nie pomoże nawet ustawa dopuszczająca przerwanie ciąży. Za późno przyszła, żeby z niej skorzystać. Za późno trafiła do poradni setki kobiet.

Z następną pacjentką nielepiej. Jest w piątym miesiącu ciąży. Dzieci chorują na gruźlicę, mąż zarabia 1.200 zł. Istnieją wszelkie lekarskie i społeczne wskazania, by przerwać ciążę. Ale znowu jest o dwa miesiące za późno.

— Dlaczego pani nie przyszła wcześniej, kiedy zabieg był jeszcze możliwy?

— Pani doktorze, gdy spostrzegłam co i jak, to zaraz poszłam do przychodni rejonowej. Byłam raz na badaniu, za trzy tygodnie drugi raz. Zanim wydał orzeczenie, nim tu przyszedłam...

To nie odosobniony wypadek. Spóźnionych skierowań pacjentek przez rejonowe przychodnie do poradni świadomego macierzyństwa jest dużo. Lekarze są bezradni nie mogą już pomóc tym biednym kobietom. Została odebrana im ostatnia nadzieja. Wychodzą stąd zapłakane ze spuszczonej głowami.

GDY DZIECKO MA ZOSTAĆ MATKĄ

Świadome macierzyństwo, świadome rodzicielstwo — to znaczy oczekiwania z utęsknieniem przyścisła na świat dziecka, to znaczy, że są warunki na wyhowanie go, to znaczy, że oboje rodzice w pełni zdają sobie sprawę z czekających ich obowiązków, to znaczy, że matka...

A jeżeli matka ma — 14 lat? Wstrząsającą historię opowiedział mi prokurator z Nowej Huty. Zgłosiła się doń matka z 14-letnią córeczką. Dziewczynka jest w piątym miesiącu ciąży. Gdy miała 12 lat zgwałcił ją jej własny ojciec. Potem przechodziła różne koleje losu aż oto nowa tragedia. Ciąża, leka-

ce przywieziono tę kobietę w bardzo ciężkim stanie do szpitala. Sztuczne poronienie, zapalenie otrzewnej. Mimo rozpaczliwej walki lekarzy, nie udało się już jej uratować; ośmierociła troje dzieci.

Czy ta kobieta musiała zginać? Gdyby zabieg był wykonany w higienicznych warunkach, przez specjalistę z pewnością żyłaby do dzisiaj.

Jak rozwiązać ten problem? Lekarze wiedzą, że kobieta, która stanowiąc nie chce utrzymać ciąży, tak czy inaczej pozbędzie się jej. Niepomna na tragiczne skutki, niepomna na wszelkie konsekwencje. Prawo pozwala tylko przerywanie ciąży, zabrania sztucznych poronień. I prawo jest codziennie łamane. Codziennie przywożą do kliniki kobiety w krwotokach, z uszkodzonym płodem, z zakażeniami. Zdarzają się wypadki śmiertelne.

Te tragiczne fakty niezbicie świadczą, że coś nie jest w porządku z istniejącymi przepisami i z ich stosowaniem. Powinni na ten temat wypowiedzieć się szeroko, przede wszystkim lekarze. Przemyśleć czy na tę tragiczną oczywistość, udawać, że nie zauważa się jej — to nieomal zbrodnia.

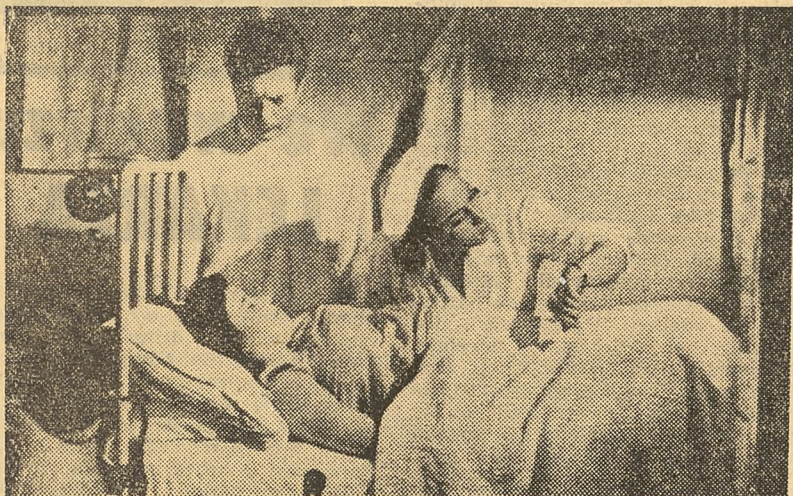
Skoro nowa ustawa nie potrafi wyeliminować pokątnych zabiegów, skoro ich wstrząsające skutki można oglądać w szpitalach i klinikach, to trzeba się zastanowić, jak zaradzić złu. I tu powinni zabrać głos także prawnicy i socjologowie.

Jest jeszcze wiele, bardzo wiele do zrobienia w tej dziedzinie. Ustawa pozwalająca przerywanie ciąży, poradnia świadomego macierzyństwa nie mająca warunków należytego działania, przycepiłona jak piąte koło u wozu — jeszcze niczego nie załatwia, nie zmienia istoty zagadnienia.

Brak jest popularnych wydawnictw poruszających te problemy, nie ma akcji uświadamiającej. O ile jeszcze coś nie coś dociera do uszu kobiet, mężczyźni są zupełnie poza kręgiem. I w tym kierunku powinna iść akcja świadomego rodzicielstwa. Musi się zmienić rola przychodni i poradni, muszą dostrzeć do zakładów pracy i szkół lekarze z pogadankami i odczytami. Trzeba zacząć akcję uświadamiającą od młodzieży, trzeba dostrzeć do głuchej prowincji, w której na dobre wciąż jeszcze królują „babki”.

Po wejściu w życie ustawy, po ukazaniu się kilku notatek w prasie nastąpiło samouspokojenie. No, ten problem już odfajkowany, załatwiony.

Nieprawda! Zaledwie został dotknięty, załatwiony na małym wycinku. A piekło kobiet nadal istnieje. Nadal dziesiątkami zwożą karetki pogotowia ofiary sztucznych poronień, ofiary nieświadomego macierzyństwa. „I oto położyliśmy palce na bolące nasze całego życia. Rzecz jasna, że w tych ciążach, porodach i pogrzebach — no, i po-



Piekło kobiet — aczkolwiek został zrobiony pierwszy krok do jego likwidacji — trwa nadal. O tym trzeba pamiętać.

ŚWIADOME RODZICIELSTWO

Jakże niewiele działania w tej dziedzinie. Poza kilkoma aktywnie pracującymi lekarzami, poza dwoma poradniami świadomego macierzyństwa, o których de facto niewiele ludzi w ogóle wie — nic, cisza. W terenie nie ma nawet tych namiastek działania. Począwszy od nieprzygotowanej służby zdrowia, po brak dostatecznej ilości i jakości środków antykoncepcyjnych. Jak w ogóle można mówić o świadomym macierzyństwie nie dysponując środkami antykoncepcyjnymi. (A gdyby zainteresować ich produkcją jakąś spółdzielnią?)

Wydaje się również, że służba zdrowia nie poświęca zbyt wiele uwagi problemowi świadomego macierzyństwa. Choćby taki charakterystyczny fakt. Poradnie świadomego macierzyństwa w Krakowie do której zgłaszają się pacjentki z odległych nie raz miejscowości dysponują zaledwie dwoma łózkami, na których może umieścić chore po zabiegu. Pozostają one nieraz kilka dni; reszta musi czekać. Jakże często niesie to ze sobą ujemne skutki.

A już na przykład szpital, w liczącej nie całe 100 tysięcy mieszkańców Nowej Hucie na ten sam cel, przeznaczyl 5 łózek. Proporcja dająca wiele do myślenia.

ronieniach! — że w tej otchłani musi utonąć wszystko, co jest ponad prymitywną obroną od głodu; że w niej tonie i elementarz dla dzieci i użytek mydła i oświata i miłość i wdzięk życia i większość ludzkich uczuć i potrzeb duchowych. Bo i tam, gdzie nie chodzi o ostatni szczebel łańcucha, w skromnej na przykład rodzinie urzędniczej, i tam chroniczna ciąża musi pochłonać wszystko, co się wiąże z jakimiś umysłowymi zainteresowaniami. W miarę, jak rosną trudności egzystencji, odpada stopniowo i książka i teatr i podróż i odpoczynek, zostaje tylko poród z przyległościami. Horyzont zacieśnia się, zacieśnia. Pauperyzacji materialnej towarzyszy duchowa. A ciąży strach przed nową ciążą zmienia się w obsesję, w psychozę”. (Boy).

Mimo, że minęło ćwierć wieku od napisania tych słów, są one niestety jakże aktualne i dziś.

Ale dziś istnieją warunki do ich dezaktualizacji, trzeba je tylko wykorzystać.

„Do świadomego macierzyństwa należy przyszłość. A-siła tej idei leży, choćby w tym, że jest ona tak prosta i stosunkowo tak łatwa do zrealizowania. Wystarczy uświadomienie, wystarczy trochę światła. Mimo wszystkich ciemnych sił, które utrudniają drogę temu światłu, trudno przypuścić, aby nie miało przeniknąć”.

JACEK ŻUKOWSKI



SZAROTKI

Kiedy przechodzimy ulicami naszych miast i zaglądamy w okna wystawowe sklepów elektrotechnicznych okazuje się, że coraz częściej jest tam na czym zatrzymać oko. Froterki, odkurzacze, lodówki, te przedmioty nie są już tam, jak dawniej, rzadkim unikatami. Obok tego niemal zawsze zdoła taką wystawę mały, niepozorny przedmiot, który jednak również prawie zawsze skupia na sobie pożądlive spojrzenia. To polskiej produkcji aparaty radiowe, ale aparaty tym różniące się od dotychczasowych, że można je zabierać z sobą na wycieczki, do pociągu i w czasie męczących podróży, albo gdzieś na łono natury wśród lasów i gór, by za pośrednictwem tych aparatów nie tracić łączności z dalekim światem.

Chodzi tu, jak już zapewne wycisnęli się domyślają, o aparaty tzw. „Turystyczne” i „Szarotki”. Pierwsze w cenie przeszło 1400 zł, drugie w cenie 1100 zł. Stosunkowo nie tak wielki wydatek jak na kieszeń przeciętnego obywatela, a jednak w zamian za to duża przyjemność.

Tak by przynajmniej można przypuszczać, tego by należało się spodziewać. Nie z innego zresztą powodu aparaty te znajdują wielu chętnych nabywców, którzy już z góry cieszą się na myśl uprzyjemnienia sobie tym sposobem niejednej wycieczki czy też urlopu z dala od miasta.

Tymczasem uszczęśliwiony w swym mniemaniu nabywca aparaty ani się domyśla, jakie uciążliwe już wkrótce spadnie na jego głowę. Obydwa typy aparatów dla ich funkcjonowania w miejscu, gdzie nie można korzystać z instalacji elektrycznej zaopatrzone są w wymienne baterie, których żywot nie jest zbyt długi. No, ale właśnie dlatego są to baterie wymienne czyli po prostu zużyte powinno się wymieniać na nowe. P o w i n n o s i ę a jednak kiedy przyjdzie do wymiany okazuje się, że takich baterii nie uświadczą na naszym rynku wyrobów elektrotechnicznych. Dobry kawał, co? Kupuje człowiek aparat oczywiście początkowo nie myśli o oszczędzaniu baterijek, bo przecież, jak sobie wyobraża, w odpowiednim sklepie w każdej chwili dostanie zamienne, a tymczasem figa z makiem. Oto jeszcze jeden wariant problemu produkcji i zaopatrzenia handlu w tzw. części zamienne.

Aparatów nie brakuje, możesz je nabyć w każdej chwili bez ogonków i talonów i oczywiście w każdym z nich znajdują się poszukiwane baterijki. A gdzie baterijki bez aparatów? Czyżby chodziło o to, żeby jak najwięcej sprzedać aparatów, żeby jak najwięcej ludzi nabić w butelkę, żeby obroty handlu były duże, a potem niech nabywca robi, co chce.

Jeśli nie można zabezpieczyć produkcji dostatecznej ilości baterijek wymiennych, jeśli stoją na przeszkodzie jakieś trudności techniczne czy materiałowe, to w takim razie prosta logika wskazuje, że należało by produkować i wypuszczać na rynek o wiele mniej, niż dotąd aparatów tego typu, lecz w zamian za to zapewniając ich nabywcom możliwość zaopatrywania się w każdym miejscu i czasie w baterijki wymienne. Tylko takie rozwiązanie było by zgodne z interesem konsumenta.

PARAGRAF A LANCET

„...Lekarz, tknięty współczuciem mówi: „Ja tego zrobić nie mogę, ale niech pani idzie do akuszerki, a jak się zaczną krwotoki, niech pani mnie wezwie, albo niech pani jedzie na klinię”. I ten sam lekarz udziela — wówczas z czystym sumieniem — pomocy, w o ile gorszych warunkach. Znowu hold obłudzie społecznej, ale jakim kosztem?” (Boy).

Ustawa dozwala przerywanie ciąży do trzech miesięcy, gdy istnieje wskazanie lekarskie lub społeczne. A co ma zrobić kobieta w czwartym, piątym miesiącu ciąży. Na przerwanie za późno, musi rodzić.

— Pani doktorze, ja naprawdę nie mam na to warunków.

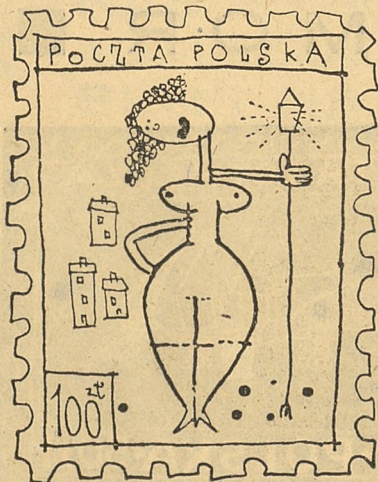
Lekarz wierzy, chciałby pomóc, lecz mimo najszerszych chęci, jest bezsilny. A przecież wie, ma prawie pewność, że tę kobietę przywieją za kilkanaście dni z krwotokiem, że wywoła sztuczne poronienie. Wtedy będzie ją musiał ratować, w dużo trudniejszych warunkach; często występuje zakażenie krwi, często przebiecie macicy.

W poradni wiedzą: — większość kobiet z zaawansowaną ciążą, którym odmówią zabiegu, wróci tu niedługo. Droga będzie wiodła poprzez pokątne akuszerki, przez brudne spelunki wiejskich babek, których jeszcze sporo „ordynuje” w terenie, wróca z uszkodzonym płodem, poronione, z wysoką gorączką, z krwotokiem; będą na pograniczu życia i śmierci, pokaleczone, nieprzytomne. Lekarze wtedy udziela im pomocy, będą walczyli o ich życie. Nie zawsze skutecznie.

Jedną z mieszkanki Nowej Huty zgłosiła się do lekarza z prośbą o przerwanie ciąży. Odmówił. Wkrót-

HUMOR

NASI RYSOWNICY PROPONUJĄ Z OKAZJI 400-LECIA POCZTY POLSKIEJ WYDANIE SERII NASTĘPUJĄCYCH ZNACZKÓW:



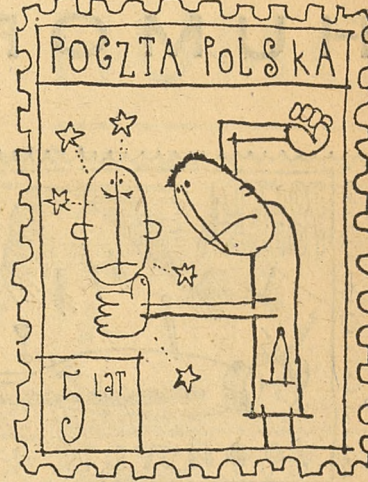
Rys. E. OLSZAK



Rys. J. BRUCHNAJSKI



Rys. E. OLSZAK



Rys. E. OLSZAK

PIGUŁKI contra ATOMY

Jak przekleństwo unosi się nad ludzkością groźba bomby atomowej. Fachowcy podają straszliwe cyfry ofiar ewentualnej wojny jądrowej.

Oceniono ostatnio, że atak atomowy na Stany Zjednoczone kosztowałby 81 milionów istnień ludzkich. Gdyby jednak udało się w porę dać sygnał alarmowy, można by liczbę ofiar zredukować do 31 milionów.

Budowa schronów przeciw atomowym pochłaniaczom potworne ilości pieniędzy. Pomimo to niewiele się na tym zyskuje, gdyż niewątpliwie straszniejsze od śmierci w płomieniach wybuchu jądrowego są późniejsze skutki eksplozji; powolne niszczenie ludzkich organów, tragiczne zmiany cech dziedzicznych. Całkiem na serio zaproponował amerykański naukowiec magazynowanie ludzkiej substancji dziedzicznej, by uchronić ludzkość od kompletnej zagłady.

To dwojakie działanie bomby atomowej już od dłuższego czasu skłania medycynę do szukania środków chroniących przed późniejszymi skutkami promieniowania. Zadanie to jest tym pilniejsze, ponieważ dziś spotykamy się z działaniem promieni Gamma, Alfa i Beta.

Gdy przed 20 laty cały świat produkował zaledwie 1000 gramów substancji rozszczepialnej (wtedy wyłącznie radu) to reaktory atomowe 1957 roku w ciągu jednego dnia dają tysiącokrotnie większe ilości. Kontrola urządzeń atomowych i usuwanie odpadków jest już dziś osobną wiedzą. Chwilowo można sobie jeszcze pozwolić na zatapianie w głębinach oceanu pyłu atomowego zawartego w maszynach, betonowych zbiornikach. Jednak na dalszą metę nie daje to rozwiązania.

Ponieważ od czasu odkrycia promieni Roentgena zdarzały się śmiertelne wypadki spowodowane promieniowaniem, powstać musiała również nauka o środkach przeciwdziałających, z których korzystamy w ochronie przeciwoatomowej. W licznych laboratoriach pracuje się gorączkowo nad rozwiązaniem tego problemu.

Doświadczenia ze zwierzętami szybko przyniosły interesujące rezultaty. Żywy organizm potrzebuje energii promiennej, ale w bardzo niskich ilościach. Jeśli izolujemy go od niej zupełnie, to traci na sile życiowej, niemniej w bez porównania mniejszym stopniu, niż przy narażeniu się na zwiększone promieniowanie. Najniebezpieczniejsze są promienie Gamma, ponieważ posiadają największą i najgłębszą siłę przenikania. Promienie Alfa i Beta wywołują znów chroniczne zmiany, zwłaszcza na zewnętrznych tkankach.

Oczywiście klasyczną ochronę stanowi, jak niegdyś u rentgenologa, płaszcz ołowiany, który obecnie zlokalizowano do okolicy śledziony. — I tak udało się zredukować śmiertelność szczerów, chronionych pancerzem ołowianym w okolicy śledziony, przed skutkami promieniowania ze 100 na 15 procent. Śledziona i wraz z nią układ krwiotwórczy, to najbardziej wrażliwe na promieniowanie organy. Tu więc należy, w

miarę możliwości, przede wszystkim zastosować środki ochronne. Do dziś nie znamy skutków działania sił jądrowych w ciele człowieka. Można stwierdzić symptomy: rozbić wody znajdujące się w ciele na wodór i tlen, zmiany smaku, zaburzenie wydzielania, wypadanie oraz siwienie włosów. W normalnych warunkach tak wątroba, jak i śledziona

NAUKA

na obroniłyby się przed skutkami zatrucia, jednak nie mogą opanować zmian powstałych na skutek promieniowania.

Wśród dotychczas uzyskanych preparatów wyróżniamy dwie grupy — pierwsza, która po prostu ogranicza następstwa i druga, która zastępuje rozbite substancje. Do jednej należą chlorek kobaltu i aminokwas — cysteina, które wyłapują rozszczepiony w ciele tlen i przemieniają go na powrót w wodę znajdującą się w organizmie. Jest to wprawdzie tylko częściowe opanowanie skutków promieniowania, niemniej na bardzo ważnym odcinku. Po tysiącach doświadczeń ze zwierzętami przyjęto, ponieważ nie zna się dokładnie przebiegu tego strasznego procesu, że rozszczepienie wody znajdujące się w organizmie, to główny powód wszystkich chorób atomowych.

Celem zwalczania dalszych następstw prowadzi się doświadczenia za pomocą zastrzyków wyciągów z śledziony, szpiku kostnego oraz przede wszystkim przelazów zdrowej krwi. Ponadto podaje się jako dodatkowy środek wzmacniający, uzyskaną z bydźcej krwi properdynę, która ma chronić przed skłonnością do zakażeń. Dzięki tego rodzaju kombinowanemu postępowaniu udało się zmniejszyć śmiertelność wśród napromieniowanych ssaków o połowę. Nie jest to wiele, nie mniej jednak jest to dodający odwagi dobry początek.

Oczywiście prace kontynuuje się z całym rozmachem i nie jest wykluczone, że ostatni meldunek ze Stanów Zjednoczonych oznacza znowu wielki krok naprzód. W laboratorium Marynarki udało się wyodrębnić ze śledziony czynnik ochronny. Jest to rodzaj kwasu nukleinowego, który będzie się niewątpliwie próbowało wytwarzać sztucznie, co uprościłoby jego zastosowanie. Celem wszystkich wysiłków przeszło tysiąc lekarzy, chemików i badaczy jądrowych jest środek zapobiegawczy pod postacią pigułki, którą każdy mógłby nosić w kieszeni. W wypadku alarmu atomowego spożywa się ją — i wówczas o ile nie znajduje się bezpośrednio w zasięgu eksplozji — nie należy się niczego obawiać. Do tego jednak jest jeszcze daleka i żmudna droga. Ci, którzy po niej kroczą życzą sobie również gorąco najprostszego rozwiązania problemu — zniszczenia bomb atomowych.

Do najważniejszych odkryć archeologów warszawskich, którzy pod kierunkiem prof. Kazimierza Michałowskiego prowadzili ostatnio badania w Dolnym Egipcie w miejscowości położonej o 30 km od Kairu, — Tell Athrib — należy odkrycie filtrów z cegły suszonej z okresu Ptolemejskiego, używanych również w okresie rzymskim. Natrafiono na nie na odcinku północnym w toku prac wykopaliskowych. Na głębokości 4,75 m poniżej pół uprawnych stwierdzono istnienie trzech platform z suszonej cegły, lub ubitej gliny, umieszczonych jedna ponad drugą w odległości mniej więcej 60 cm. Pomiedzy tymi platformami znajdowały się warstwy mokrego piasku. Następnie znaleziono konstrukcję z ceg-

POLSKA EKSPEDYCJA W EGIPCIE

ły suszonej z poprawkami z cegły wypalanej wczesno-rzymskiej. Konstrukcje od strony północnej na terenie wykopaliskowym stanowi mur-okładzina o grubości dwóch cegieł ułożonych schodkowo w wysokości przeszło dwóch metrów. Mur zamyka w sobie pagórek piasku prawdopodobnie pochodzenia naturalnego. Od strony wschodniej do wyżej opisanej konstrukcji przylega studnia wykonana z cegły wypalanej. Odkrycie jej



Foto Romanowski

potwierdziło hipotezę, że natrafiono na niezwykle ciekawą konstrukcję filtru służącego do oczyszczania wody zaskórnej, nie nadającej się w naturalnym stanie do picia, ani nawet do urządzeń łączących ówczesnych panów Egiptu.

Jest to pierwsze tego rodzaju odkrycie na terenie Egiptu, dające odpowiedź na pytanie pomijane do tej pory milczeniem w nauce: jakiej wody używali Grecy i Rzymacy mieszkający Egiptu na tych terenach, gdzie nie posługiwano się systemem cystern. Jest to również ważne dla pogłębienia naszej wiedzy o technice starożytnej.

W świetle tych faktów jasne staje się zastosowanie wodociągu odkrytego w pierwszych dniach prac wykopaliskowych naszej ekspedycji na odcinku zachodnim Tell Athrib. Wodociąg ten według wszelkiego prawdopodobieństwa służył do zaopatrywania w przefiltrowaną wodę leżących opodal budynków rzymskich.

Powyżej filtrów w górnych partiach komu (wzgórza, na którym prowadzono wykopaliska), na odcinku północnym zostały znalezione wielkie bloki wapienne, prawdopodobnie z aleksandryjskiej budowli sakralnej. Ze znalezisk ruchomych na szczególną uwagę zasługują dwa duże bloki kamienne z napisami hieroglificznymi. Pochodzą one z budowli wzniesionej w okresie XXV dynastii faraonów (751—666 r. p. n. e.). Bloki w chwili ich znalezienia były użyte po raz wtóry w fundamentach muru z okresu rzymskiego. Umieszczone w kartuszach imię królewskie zostało starannie usunięte za pomocą młotkowania (martelazu), którego prawdopodobnie dokonał król Psmetyk II, władca XXVI dynastii tzw. sackiej.

Stwierdzenie przez polskich uczonych istnienia filtrów na terenie Dolnego Egiptu jest bezspornie rewelacją archeologiczną w skali światowej.

EWA RUDZKA

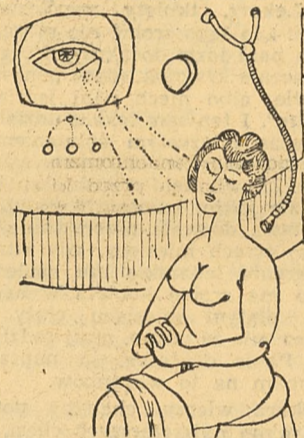
We wnętrzu LEKARZA

Na korytarzu kliniki szereg tabliczek obwieszcza do jakiego specjalisty wiedzie droga przez dane drzwi. Pacjentka odczytała właściwą nazwę specjalności i po chwili znalazła się w niewielkim gabinecie bez okna. Nie wiedziała, że znajduje się we wnętrzu lekarza. Ze ścian i z sufitu mrugają do niej zielonkawe oczka przypominające „magiczne oczy“ aparatów radiowych. „Proszę siadać“ — odzywa się łagodny głos. Źródło jego musi tkwić gdzieś w ścianie. Pokój bowiem jest pusty. „Co pani dolega?“ Dziewczyna zwierza się ze swych zmartwień. „Wyniki badań rentgenowych, krwi, moczu proszę wrzucić do mojej kieszeni“ — mówi ten sam łagodny głos znikąd. Nad skrzynką przypominającą skrzynki pocztowe ukazuje się napis „tu jest moja kieszeń“. Dziewczyna wrzuca do wąskiej szpary wyniki zapisane w postaci otworków na niewielkich błoczkach kartonowych. „A teraz proszę się rozebrać“. Tu nie ma mowy o przykrowej (dla wielu ludzi) przeważnie człowieka ubranego nad nie ubranym. Przecież pokój pusty. Po chwili pacjentka układa się na wygodnym łóżku w kącie gabinetu. Ze ścian i z sufitu zsuwają się ku jej ciału delikatne, ale nie ludzkie, dłonie i uszy niewidocznego lekarza. Po kilku minutach badania — ciepły głos znikąd stawia dokładną diagnozę. Na stolik koło łóżka wyjeżdżają ze ściany recepty. „Dziękuję“. Pacjentka wychodzi. Tak oto wyobrażam sobie wizytę lekarską w niedalekiej przyszłości: człowiek będzie wchodził do wnętrza elektronicznej maszyny, która szybciej, dokładniej i skuteczniej postawi diagnozę niż dobry specjalista. Czy będzie właśnie tak jak opisałem? Nie wiadomo. Może przyszłość okaże się inna. Jednakże całej tej historii nie wysłałem sobie z palca.

— Dowody? — pytam przyjaciela.

— Tak zwane „mózgi elektroniczne“ wykonują już obecnie skompli-

rowane obliczenia tysiące razy prędzej niż człowiek. Więcej. Istnieją także elektroniczni tłumacze operujący poważnym zasobem słów: dokonano za ich pomocą pomyślnych prób tłumaczenia tekstu angielskiego na rosyjski i rosyjskiego na angielski. To jeszcze nie wszystko: współczesna technika dysponuje „mózgiem elektronicznym“ komponującym piosenki oraz... pierwszym elektronicznym lekarzem. Okulista francuski François Pacha zbudował mianowicie aparat, który stał się sensacją Kongresu Cybernetyków w Belgii (miało to miejsce w roku pań-



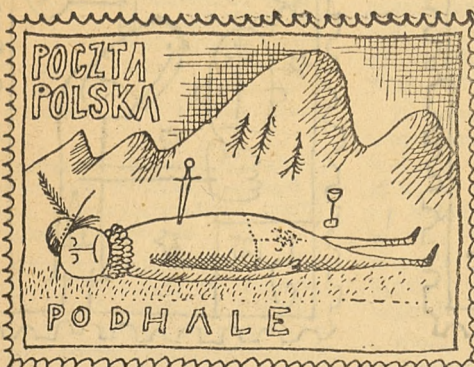
Rys. J. BRUCHNAŁSKI

skim 1955). Aparat ten stawia diagnozy — i to bezbłędne diagnozy — w zakresie schorzeń rogówki. W „pamięci“ automatu znajdują się setki kartek z zapisanymi, odpowiednim sposobem, objawami chorób. Lekarz (żywy i prawdziwy) badając pacjenta zadaje mu szereg pytań — właśnie na temat objawów. Odpowiedzi przekazuje maszynie. Ta zaś wybiera odpowiednie kartki i na ich podstawie ustala diagnozę. Oczywiście w tak pomyślanym aparacie wynik badania zależy w ogromnej mierze od żywego lekarza, który wykształcił „pamięć“ maszyny oraz od tego, jak i jakie zadawał pytania. Jeśli to wybitny specjalista i trafnie rozpoznał kartki z objawami choroby, a później biegle zadawał pacjentowi pytania — diagnoza wydana przez lekarza elektronicznego musi być trafna. A więc pierwszy krok w sferę, która wy-

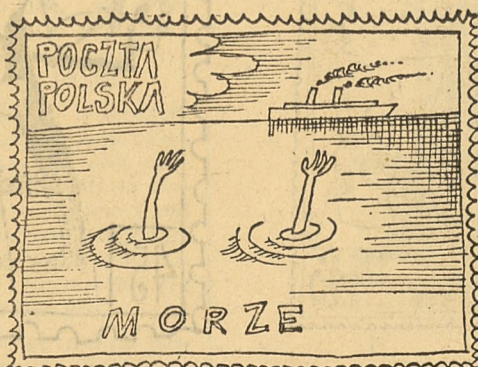
dawać się może fantazją, został zrobiony. Istnieje pierwszy elektroniczny lekarz. Trzeba tu dodać, że przyrządów elektronicznych różnego typu używa się dziś w różnych gałęziach medycyny. Na przykład w jednym z rewelacyjnych aparatów ostatnich czasów. Nazywa się on... telewizorem mózgu.

Badacze zachodnio-europejscy Lilly i Chary skonstruowali przyrząd składający się z 25 wzmacniaczy, przy czym każdy wzmacniacz działa na oddzielną neonową lampę, zapalającą się gdy prąd mózgowy ulega wzmocnieniu. Badacze radzieccy Liwanow i Ananiew zbudowali natomiast przyrząd do obserwacji prądów, pochodzących z 50 różnych punktów mózgu zwierzęcia lub człowieka. Zastosowanie telewizji pozwoliło na uproszczenie konstrukcji przyrządu. Badany siedzi w wygodnym fotelu, w kabinecie nie przepuszczającej żadnych dźwięków z zewnątrz. Zasilony jest metalowym ekranem przed zakłóceniami elektrycznymi. Do głowy przymocowane są mu 50 elektrod. Gdy pacjent zupełnie się uspokoi — prosi się go o przemnożenie w pamięci dwóch liczb. I natychmiast na ekranie zaczynają jasno rozbłyskiwać jedna po drugiej — liczne kropki. Równocześnie inne kropki dotychczas jasne — gasną. Gdy tylko badany kończy zadanie, różnice między jasnością poszczególnych kropek nikną. Co nowego wnosi ten „telewizor mózgu“ do współczesnej medycyny? Przeprowadzono dzięki niemu doświadczenie z modelem przypominającym nowotwór mózgu. Wprowadzono więc do mózgu zwierzęcia doświadczalnego kawałeczek parafiny. Punkty rozmieszczone tuż nad tym sztucznym nowotworem świecą na ekranie niezmiennym blaskiem, podczas gdy w odzwierciedlającej się na tymże ekranie zdrowej części mózgu obserwowano mozaikę zmieniających jasność kropek, mozaikę taką, jaką widzi się u każdego zdrowego zwierzęcia. Doświadczenie to ma ogromne praktyczne znaczenie. Telewizor mózgu pozwoli na dokładne określenie miejsca schorzenia. O dalszym postępowaniu w stosunku do chorego zadecyduje chirurg.

HUMOR ■ HUMOR ■ HUMOR ■ HUMOR



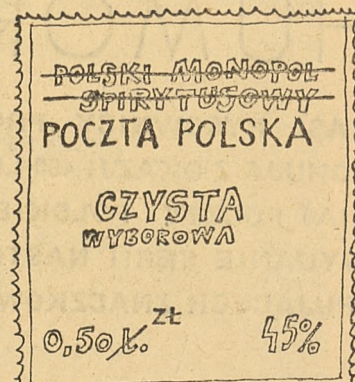
Rys. K. WIŚNIAK



Rys. K. WIŚNIAK



Rys. S. BERDAK



Rys. K. WIŚNIAK

Podziwiam konsekwencję i inteligencję kierowników teatru Słowackiego w Krakowie. Pomyśleli sobie zapewne: wszyscy w tym kraju poszaleli na punkcie nowoczesności Becketta, Anouilha, Sartre'a, pokażemy więc inną nowoczesność, która zatrząsie zwolennikami nowinek i zerwie maskę snobom i filistrom. Jak pomyśleli tak zrobili. Sięgnęli mianowicie po sztukę Jeana Cocteau. I upieklili przy tym drugą pieczęć: teatr konsekwentnie realizuje swoją klasyczną linię, upstrzoną nie tyle wielkimi dziełami ile wielkimi lub głośnymi nazwiskami. Cocteau jest głośny? — Jest. Jest klasyczny? — Prawie, też to akademik.

Poza tym posłużono się nie lada wagą przynętą: tytuł „Orzeł dwugłowy” jakież skojarzenia może wzbudzić u co dorosłych kra-kowian. A jakby jeszcze zasugerować widzom dalsze skojarzenia z epoką cesarsko-królewską i wszystko to podkiesić ciężką secesją wystawy?

Mój Boże, świetnie się udało! Na wielkiej scenie powolutku, ale za to — dając pełną możliwość wygadania się ulubionym aktorem — rozwija się cienka dramaturgia sztuki Cocteau. Niewątpli-



wie znalazły się wielu głębokich krytyków, którzy postarają się odczytać w „Orle dwugłowym” jakież głębokie wartości podtekstowe, podobnie jak niektórzy krytycy starają się nadać „wyższy”

też sztuce imputować podtekstowe wartości, mimo że sugeruje je sam autor (w przedmowie do programu). Myślę pan Henryk Vogler w swej niedzielnej recenzji w Dzienniku Polskim

świetnie pojęli ideę swego mistrza — autora. I kapitalnie ją urzeczywistnili. Ogromna scena zastawiona jest secesyjnymi akcesoriami, jakże niezbędnymi dla wszelkiego typu melodramatów.

A te jego zdolności fizyczne. Żeby tak z wysokości jednego piętra staczać się po schodach. Ludziska robią zakłady do ilu przedstawień aktor wytrzyma w pełnym zdrowiu. Oczywiście wszystko zależy od tego jak długo sztuka utrzyma się na scenie. I jeszcze jedno trzeba podziwiać. Śmiałość zerwania z kameralnoscą. Komuś mało doświadczonego mogłoby się wydawać że po pewnych skrótach „Orzeł”, wystawiony na małej poetyckiej scenie, nabraby nieco więcej sensu. Zwłaszcza że ilość osób występujących na raz w dialogach nie przekracza w zasadzie dwóch. Ale to chyba błąd. Wprost przeciwnie. Jak najprędzej należałoby tę sztukę przenieść do jakiegoś większego jeszcze teatru i to radiofonizowane. Wtedy monumentalny secesyjny zagraby lepiej. Od sztuki Cocteau jak blisko do „sztuki dla mas” w niedawnym tego terminu znaczeniu. I wcale nie zgadzam się z twierdzeniem tych którzy o sztuce w teatrze Słowackiego mówią dwuwerszem: „dwugłowy — może, ale nie orzeł. „Bo nby kto nie jest tym orłem? Akademik Cocteau? — Eee, wykluczone. A może dyrektor teatru? — Fe, skąd. JÓZEF SZYPUŁA

„DWUGŁOWY — MOŻE ALE NIE ORZEŁ”

sens niektórym abstrakcyjnym dziełom współczesnej sztuki, twierdząc że widać w nich kształty kosmiczne. Można i tak. W kosmosie jeszcze nie byliśmy. Sztuczny księżyc ledwie zahacza o przestrzenie międzyplanetarne. Trudno sprawdzić. Jedynym sprawdzianem byłoby najczęściej zapytanie autora, co chciał powiedzieć przez swój utwór. Ale — wówczas na cóż zdało by się jego dzieło? I wątpliwość czy chciałby (czytaj mógł) udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Sprawa utknęłaby na martwym punkcie. Ale — wracając do sztuki Cocteau — sprawa ma się w jej wypadku raczej wręcz odwrotnie. Trudno

twierdzić że „Orla” należałoby grać z pewną rezerwą z „przymrużonym okiem”, uważając tę sztukę za rodzaj pastiszu. Ani jedno słowo tekstu nie uprawnia do takiego twierdzenia. Patos sztuki brzmi szczerze, bez odrobiny ironii, podobnie jak i sentymentalizm. Sztuka Cocteau jest moim zdaniem reakcją na wszelkie uduziwnienia nowoczesnego sztuki.

Zwłaszcza biblioteka: to cudo, w którym nie widać niemal książek, ale za to widać zieloną, solidną, metalową galerię. Ludzi uczęszczających do teatru zastanawia: czy galeria jest naprawdę metalowa, czy — jakby powiedział sienkiewiczowski Rzędzian — „tylko przednio udana?” I aż człowieka diabli biorą że w kominku nie pionie ogień, tylko czerwona żarówka i że na celu, do którego składają się z broni palnej bohaterowie, nie odbijają się prawdziwe ślady kul. Nie ulega natomiast żadnej wątpliwości szczerść i prawdziwość kapitalnej gry Marii Malickiej. Talent ma Ryszard Pietruski,

JAKI JEST PAŃSKI KONIK?

LEOPOLD GRZYB
dyrektor Krakowskiego Domu Kultury (Pałac pod Baranami)



Rys. JERZY NAPIERACZ

Teraz? Nie mam. Jest naprawdę przykrą sprawą, że w takiej pracy jak moja, musiałem zrezygnować z moich pasji: tj. teatru lalek z którym w Katowicach przygotowałem 15 premier oraz sportu, gdyż uprawiałem wyczynowo prawie wszystkie dziedziny lekkoatletyki i głównie piłkę nożną, a teraz to tylko na urlopie mogę pospać pod namiotem i całe dni przypominać sobie czasy dawnej formy, o ile sprawy służbowe nie przerwą idylli.



ZWYCIĘŻYŁY KOBIECY

HALINA CZERNY-STEFANŃSKA

pianistka

Moim konikiem? (bez chwili namysłu) jest teatr, chodzę na wszystkie sztuki. Polski teatr jest teatrem bardzo dobrym wbrew powszechnemu mniemaniu. Byłam w wielu teatrach zagranicznych i stwierdzam, że wcale nie ustępujemy miejsca w tej dziedzinie Zachodowi. Mam także drugiego konika — malarstwo. Chodzę prawie na każdą wystawę i kupuję albumy, które ukazują się w sprzedaży.

Rys. LECH PRZYBYLSKI

MORDOBICIE I HYMNY

Od bardzo dawna rodzili się we mnie pewnego rodzaju wątpliwości co do obyczajów sportowych. W Polsce i na świecie. Zdawało mi się, wtedy jeszcze niezbyt jasno, że przyfastrygowywanie np. hymnów państwowych do byle juniorowskiego mordobicia jest — mówiąc ogólnie — patriotyzmem na wyrost i beznymnym dewaluowaniem tych czczonych, otoczonych tradycją melodii czy pieśni. Rozumiem — ważne wydarzenia narodowe, święta państwowe, powitanie wysokich zagranicznych przedstawicieli — ale żeby jakimś Pikułce czy Mamotowi grać hymn państwowy za to tylko, że dał w zęby dwa razy więcej zagranicznemu przeciwnikowi to to jest — mam takie niezachwiane przekonanie — profanacja.

Żeby uchylić się, albo raczej, żeby odparować spodziewane ciosy ze strony kibiców i zapaleńców sportowych chcę powiedzieć, że wiem, jakie nimi kierują pobudki. Wiem, że do zawodnika przywiązują oni zaraz słowo — zbyt chyba wielkie — „Polska”, „Niemcy”, „Hiszpania” itd. Że niby jeżeli zwycięży jakiś Schur to zwyciężają Niemcy, a jak Dalgaard — to Dania czy inna Norwegia. Być może tak to trzeba uważać, choć ja nie mam takiego przekonania. Sport jest ruchem dobrowolnym, w naszym kraju — rzekomo — wyłącznie amatorskim. Nikogo się do drużyn nie ciągnie, każdy nadstawia policzki z dobrowoli, i kopie piłkę i gołenie przeciwników tekoż. Przeto przywiązywanie do tej jego pasji czy przy-

watnej ambicji narodowych flag i hymnów trzeba chyba uznać za paradoksalny anachronizm. Słuchałem przed kilku laty sprawozdań z meczu bokserskiego Polska—Ktoś Tam (nie pamiętam) i Polacy, dobrzy mordobijcy, zwyciężyli chyba 10 razy i 10 razy orkiestra rzęła „Jeszcze Polska nie zginęła”. (Pardon, przypominałem sobie — to były Mistrzostwa Europy). Możecie

OBYCZAJE

sobie, Panowie, mówić co wam się podoba — a właściwie co wam się nie podoba, ale 10 hymnów w czasie jednego meczu — w przerwach pomiędzy „Bij go w dołek”, w „Limonogo”, hakiem-hakiem”, „sierpem w ryj” — to to jest cokolwiek za dużo. Przesada. Ale taka przesada, że się człowiek skręca z wściekłości. Zamiast cieszyć się siłą i sprawnością pięści chłopców, którym przypadek kazał się urodzić w Polsce. Cenię sobie sport i sportowców. Nawet przestałem się już zastanawiać jaki sens ma to wysyłanie ciągle jednych i tych samych Sidlów, Kopytów, Szemplińskiej do wszystkich krajów świata po kolei. Wiadomo, że zrobili swoje, że rzucają tyle a tyle kilometrów w trójkacie. Od

szeregu miesięcy słyszę tylko: Sidło rzucał w Finlandii, Sidło rzucał w Norwegii, Sidło pojechał do... Sidło wrócił z... itd. Bez końca. Nudne. Sidło dobry i zdolny miotacz oszczepów nie musi przecież całe życie rzucać oszczepów. Zwiędzać świat? Owszem, ja także bym pragnął — jeśli by Wysocki pozwolił, a takich jak ja różnych Mroźków jest w Polsce wielu. Ale nas za granicę nie puszczają. Chociaż na pewno nie handlowalibyśmy spirytusem i nie kupowalibyśmy samochodów za niewiedomego pochodzenia moniaczki, co się poniekąd naszym reprezentantom narodowym ostatnio przydarza...

Pojedzie taki na różne Riwieri, odżywia się odpowiednio, i reprezentuje. Często przegrywa, ale to frazszka, pojedzie następnym razem znowu. I reprezentuje. I grają mu hymn narodowy. I robią zdjęcia — z przodu, z tyłu, z góry i z dołu. Ale na to zgoda. Siawa sportowca trwa jedną minutę — niechże więc. Ale kto mi odważy się powiedzieć, że nasi amatorscy sportowcy nie są czystej wody zawodowcami? Panowie, nie bujajmy się, kto uprawia sport wyczynowy, kto dziesięć razy w roku jeździ na „międzynarodowe” spotkania — ten nie może robić nic innego. Tak było z Królakiem z Kocerka, tak jest z Sidłą i tyłu innymi. Może gdzieś tam są — dla formalności — zapisani w jakimś przedsiębiorstwie. Ale że nie są faktycznymi pracownikami — to jest dla mnie niemal zupełnie pewne. Ale nie o to mi dzisiaj chodzi. To tylko na marginesie. Wracam więc do sprawy oficjalnej reprezentacji narodowej w sporcie. Myślę, że okładanie sportu — dziedziny (powtarzam) dobrowolnej pasji zawodniczej — uroczystym kompresem narodowych hymnów i flag ma w sobie jakieś

relikty totalitaryzmu. Nie wiem kto pierwszy wpadł na ten pomysł, może jeszcze Grecy, ale uważam, że nie mógł tego wprowadzić ktoś, kto traktował sport czysto, bez politycznych aspiracji.

W minionych latach i sport uczyniono w Polsce jedną z tzw. „transmisji”. Zresztą — cały świat choruje na to samo. Amerykanie podobno w czasie meczu najlepszych drużyn basketbalu czy rugby — gotowi byliby zapominać o całym świecie z wyborami prezydenckimi włącznie. Ale to już jest pewien styl życia. Wykształcony kult mięśni i pięści. U nas istnieje on także. Wśród chuliganów. Jak tak dalej pójdzie, to i oni — w razie kolejnego zwycięstwa nad milicją — każą sobie zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła”...

Ale wpadam w tonik nieco przyżartobliwy. Panowie wybaczcie. Panowie mają marsowe miny? Panowie napiszą dwanaście listów z podpisami protestującymi przeciwko? Uprzejmie proszę. Listy czytuję z niezmiennym zainteresowaniem. Jednakże ośmielam się poprosić ludzi, którzy traktują, równie jak ja, Hymn Narodowy poważnie, mają dłań szacunek i nie chcą by go dewaluowano w czasie chryj pseudosportowych — jak się to często zdarza — aby DOMAGALI SIĘ WRĄŻ ZE MNĄ WPROWADZENIA ZAKAZU WYKONYWANIA HYMNU NARODOWEGO W CZASIE IMPREZ SPORTOWYCH NIE MAJĄCYCH SZCZEGÓLNEGO ZNACZENIA. Jestem za pozostawieniem hymnu nawet dla igryszek — ale np. takich jak w czasie Festiwalu światowych, gdzie sport jest jedną z reprezentowanych przez narody dziedzin i gdzie przyświecają cele nie tylko ambicjonalne czy ubieganie

się o tytuły — ale także poważniejsze, do których przywiązują wagę całe narody — także, ale nie tak jak w ubiegłą niedzielę — ze względów pozapasportowych...

Bohdan Drozdowski

P.S. Przed wydrukowaniem tego felietonu przeczytał go pewien młody i ładny magister polonistyki i skrzywił się: Nie masz racji — powiedział. Sportowcy przecież w ten sposób rozslawiają imię swojego kraju. Na co ja: Tak? Wobec tego kto rozslawia kraje — Hymny — czy pięści i nogi? Jeżeli Hymny, to... itd. Uważam, że rozslawiać kraj można także przy pomocy „Kariolinki” i „Ej, przeleciał ptaszek”. Po co zaraz „Jeszcze Polska nie zginęła”?

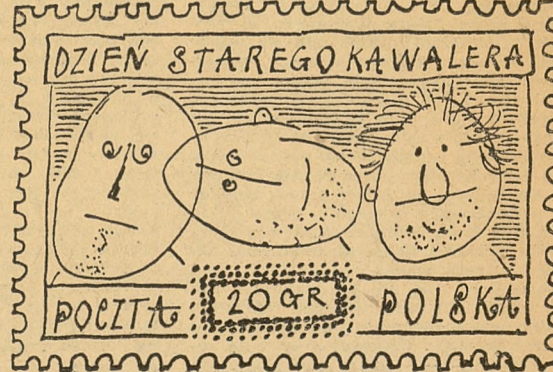
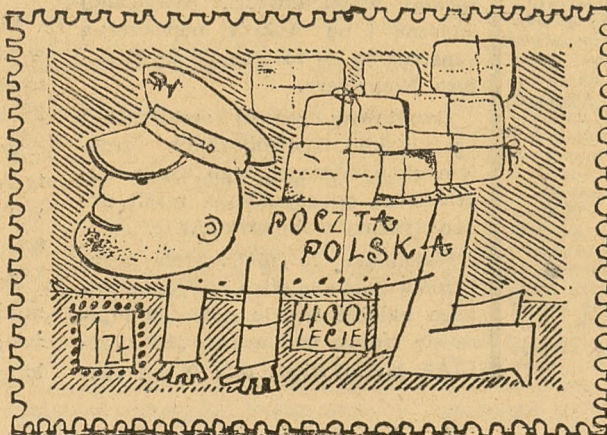
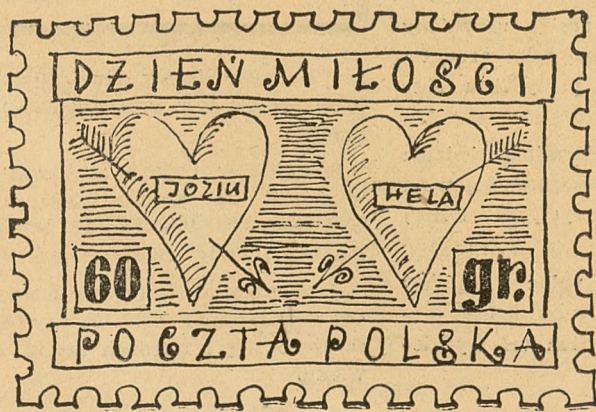
MOJA POCZTA:

Ponieważ na ogół nie czytuję swoich felietonów — nie zauważyłem bardzo przykrogo dla mnie błędu w felietonie zatytułowanym „Ach, mospanie, zali to uchodzi?” traktującym o nowohuckim przedstawieniu „Nowego Don Kichota” Al. Fredry. W odpowiednim miejscu wydrukowano tam „Szajnowe szmaty”, gdy powinno być „Szajnowe szaty” — za który to błąd, wynikły na pewno z mojej winy, Pana Szajne, znakomitego scenografa, który zachwyił mnie już nieraz swoją niesłychaną inwencją — serdecznie przepraszam. (Nb. przedstawienie „Imion władzy” uważam za genialne. Najlepsze ze wszystkich dotychczasowych premier i prapremier Teatru Ludowego. Składam te wyrazy zachwytu na dowód, że jestem bezstronny, i że nie mam za pazuchą osobistych niechęci z powodu pewnej nie przyjętej — kiepskiej zresztą — sztuczki...)

HUMOR

NASI RYSOWNICY PROPONUJĄ Z OKAZJI 400-LECIA POCZTY POLSKIEJ WYDANIE SERII NASTĘPUJĄCYCH ZNACZKÓW

HUMOR



Rys. J. DYNDA



1836 SCHODÓW

Usiedliśmy na tarasie kawiarni „Café Brebant”, oddalonej azalewami o parę kroków od „Folies-Bergères”. Ginette spojrzała na swój taniutki zegarek.

— Mam bardzo niewiele czasu. Muszę być w teatrze na godzinę przed spektaklem. Proszę więc przedko zadawać pytania.

Ginette jest jedną z 36 tancerek „Folies Bergères”, które co wieczór, mniej lub więcej rozebrane, tańczą na scenie tego znanego teatru. Bez niego program zwiedzania Paryża przez turystę byłby niekompletny. Ginette wygląda w „cywilu” całkiem niepozornie, tak że żaden mężczyzna nie zwróciłby na nią uwagi na ulicy. Wygląda ona, jak jedna z setek tysięcy małych, małych paryzanek. Studiuję prawo na paryskiej Sorbonie. Aby zaś opłacić studia, zarabiam...

— Jak wysoka jest pani pensja? — pytam.

— 35 tysięcy franków miesięcznie po wszystkich potrąceniach. Ale z tego muszę sama kupować sobie

szminkę, baletki i prawie każdego wieczora muszę zapłacić taksówkę, aby po przedstawieniu dostać się do domu...

Ginette wzdycha. 35 tysięcy franków? Znam ceny w Paryżu: za umebłowany pokój, za żywność, za wszystko dookoła i dobrze rozumiem westchnienie Ginetty.

— Mówi pani szminkę! A fryzjera? — Ginette ma trwałą ondulację i włosy ufarbowane na ciemnoczerwony kolor.

— Fryzjera chętnie zapłaciłabym sama, gdybym mogła. Ale my wszystkie jesteśmy zobowiązane umową do korzystania z usług tego fryzjera „Folies-Bergères”. To wprawdzie nas nic nie kosztuje, ale za to eksperymentuje on na naszych włosach i kiedy się przy tym dozna szkody ma się doprawdy pecha. Dyrekcja to nic nie obchodzi.

— A nie spotykają panią w teatrze, nazwijmy to delikatnie, nieprzyzwoite propozycje?

— Żadną miarą. Przeciwnie, dyrektor i reżyser dbają o surowość obyczajów, przynajmniej wewnątrz zakładu. Flirt z jakimś tancerzem lub innym pracownikiem teatru równa się natychmiastowemu zwolnieniu z pracy.

— A po przedstawieniu? Nie, nie... — wycofuję się szybko pod nagłe niechętnym i podejrzliwym spojrzeniem — to nie miała być propozycja rendez-vous z mojej strony. To tylko zawodowa ciekawość.

— Po przedstawieniu możemy robić, co nam się podoba. Sądzę, że dyrekcja nie miałaby tego za złe, gdyby któraś z nas spotkała się na par-

Każdy z tych kostiumów kosztuje więcej, niż roczna gaża trzech tancerek z „Folies-Bergères”, Krótku rewia „Ahl! Quelle Folie!” kosztowała ponad 300 milionów franków. Z tej olbrzymiej sumy ani jedna piąta nie została wydatkowana na pensje i gaże wszystkich pracowników teatru.

kiecie z jakimś grubym panem. Przed paru miesiącami jedna z koleżanek tancerek zailla się dyrektorowi Paul Derval, że mało zarabia. „Mademoiselle — odpowiedział jej dyrektor — daję pani sposobność pokazywać co wieczór piękno pani ciała. Jeżeli pani nie wie co z nim zrobić po przedstawieniu, czy to moja wina?”

Zdarza się naturalnie, że ta czy inna spośród moich koleżanek schodzi na śliską drogę, ale to samo mogłoby się jej zdarzyć, gdyby była na przykład stenotypistką albo modystką. To jest sprawa moralnej postawy. Większość tancerek, to naprawdę dzielne dziewczęta albo młode matki. Teatr „Folies” nie jest miejscem rozpusty, ale zabawy i rozrywki. Ale nie dla tych, którzy tam pracują...

— Wie pan, niejednokrotnie już zastanawiałam się nad tym, dlaczego właściwie ten teatr jest wyprzedany z wieczora na wieczór. Często trzeba nawet kupować bilety w pasku. W rzeczywistości przecież na pierwszej lepszej plaży widzi się więcej i nieraz bardziej obnażonych ciał, niż u nas. I o wiele bliżej. „Folies-Bergères” nie jest moim zdaniem żadną sztuką, według jakiejś starej, francuskiej tradycji, ale po prostu sztuką jarmarcznią. Naturalnie przepych kolorów, muzyka i wielobarwne kostiumy — to wszystko działa oszalałająco, ale ze sztuką nie ma to nic wspólnego.

Ginette popija łyk soku pomidorowego i znowu zerka na zegarek.

— Teraz to już muszę naprawdę uciekać. Dostę panu naopowiadałam.

— Jeszcze przedtutko jedno pytanie: co pani, jako tancerka w „Folies-Bergères” odczuwa w swoim zawodzie, jako najbardziej nieprzyjemne?

— Pan się myli, jeżeli pan sądzi, że odpowiem: tańczyć nago. Do tego można się przyzwyczaić. Nie, najbardziej nieprzyjemne są... schody.

— Schody???

— Tak! Schody! Dziewięć razy, podczas spektaklu trzeba pędzić nimi tam i z powrotem, aby się przebrać z trzeciego piętra na dół i znowu w górę. Garderoby znajdują się na czwartym piętrze, scena — na pierwszym. Schody są strome i wą-

skie, a my się musimy bardzo spieszyć. Kiedyś je policzyłam. Jest ich 17 pomiędzy półpiętami, a 34 między piętrami. Niech pan zresztą sam sobie to obliczy. Ja muszę już uciekać. Każde spóźnienie kosztuje karę, wynikającą z umowy.

Ginette spieszy do teatru. Nikt się za nią nie ogląda, nikt się po niej nie domyśla, że za pół godziny będzie stała w świetle białych reflektorów. A ja liczę: trzy razy po 34 stopnie po każdym występie to już

102 schody, 102 schody razy dziewięć to 918.

Dziewięćset osiemnaście schodów w górę i drugie tyle w dół. I tak co wieczór, a w niedzielę dwa razy więcej, ze względu na popołudniówkę...

Gdyby to było tylko to i nic poza tym więcej. Nie łatwo jest być tancerką we „Folies-Bergères”!

Według wywiadu G. R. Reymond w „Das Magazin”



Ta dziewczyna dopiero co wybiegła ze sceny. Już czeka na nią garderobiana z nowym kostiumem. Najpierw fryzura, a potem druga garderobiana osusza spoconą i zdysznaną tancerkę, która po błyskawicznej zmianie kostiumu za parę sekund musi wrócić na scenę. Na drugim planie owe słynne „schody”.



FILM

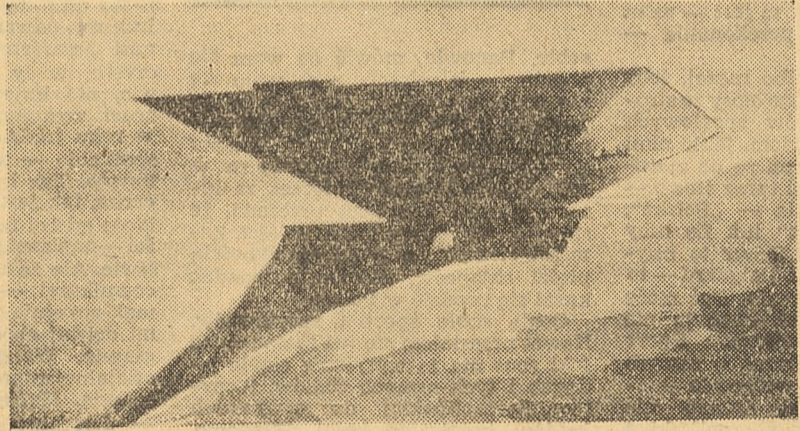
TARAPATAMI PONURAKA

można by streścić radziecką komedię kolorową pt. „Noc sylwestrowa” zrealizowaną przez Eldara Razonowa w wytwórni „Mosfilm”. Akcja odbywa się w Domu Kultury, którego wszyscy współpracownicy przygotowują bogaty w humor i atrakcyjne niespodzianki program sylwestrowy. Jedynym wyjątkiem jest zastępca dyrektora Ogurcow (Igor Iliński) — jegomość tępy i pozbawiony poczucia humoru, bez aprobaty „góry” nie lubiący się „wychylać”. On właśnie ma zdecydować o szczegółach programu, które omawia z nim Lena Kryłowa (Ludmila Gurczenko), młodą i ładną kierowniczką zespołów artystycznych.

Ogurcow na nie się nie zgadza. On chce wystąpić z fascynującym referatem zasadniczym i odczytać o astronomii. Zamiast orkiestry jazzowej proponuje zespół grajków — emerytów, Kostiumy,

tancerek Wydadają mu się zbyt frywolne i żąda dla nich przyzwoitych strojów. Młodzież nie zgadza się z koncepcjami dyrektora — ponuraka i po kryjomu przygotowuje własny program. W tej sytuacji „Noc sylwestrowa” staje się nocą niespodzianek dla Ogurcowa i gości rozbaawionych wieloma pełnymi humoru i krótkich śmieć sytuacjami. Ofiarą w pierwszym rzędzie jest sam Ogurcow. W pełni zabawy wychodzi na scenę, by wygłosić planowany i napisany przez siebie szalony referat. Lecz kartki referatu w sposób prestidigatorski zamieniają się w gołębie. Ośmieszony i skompromitowany wysuwa na scenę prelegenta z odczytem o Marsie. I tu niespodzianka. Poważny prelegent zaczyna nagle tańczyć. Okazuje się, że młodzież czuwa. Nie wychodzi mu bowiem żaden z ponurackich numerów. Oczy z orbit mu wychodzą z rozpazcy i zdziwienia, gdy orkiestra brodatych emerytów gra melodie jazzowe. Skutek został osiągnięty. Program i zabawa rozwijają się na wesolo. Bawią się wszyscy — goście i wykonawcy, a najważniejsze, że bawią się i śmieją widzowie tej przyjemnej komedii w której znalazły się na dobrym poziomie humor sytuacyjny, ładne twarze i nie przeszarżowane kreacje aktorskie.

OSCAR NIEMEYER ARCHITEKT BRAZYLIJSKI



OSCAR NIEMEYER architekt brazylijski pochodzenia niemieckiego (ur. 1907 r.) należy do tej grupy architektów, których twórczość jest próbą wnikięcia w przyczyny i genezę charakteru rodzimego budownictwa.

Prawdziwie południowy dynamizm form pełnych jakiejś desperackiej wybuchowości, powiązanej logiczną i na wskroś nowoczesną konstrukcją — to właśnie architektura Niemeyera.

Gwałtowny rozwój architektury brazylijskiej spowodowany wzrostem ekonomicznym tego kraju, doprowadził do zagubienia myśli urbanistycznej w budownictwie.

Natomiast do nielicznych przykładów budownictwa zorganizowanego należeć będzie nowo budująca się stolica pod nazwą „BRAZILIJA”. Kierowniczą rolę w tej rea-

lizacji przypadnie Oscarowi Niemeyerowi.

Pierwsze zespoły budynków nowo powstającej stolicy w stanie Goyos, do których należą tymczasowa rezydencja prezydenta z domem mieszkalnym, pałac rządowy oraz hotel dla pracowników rządowych są w toku budowy.

Pierwszy krok został uczyniony w styczniu ubiegłego roku przy finansowej pomocy prezydenta Kubitska i rządu.

W późniejszym terminie siedziba ta zostanie częściowo zamieniona na wielkie centrum turystyczne nowej stolicy.

Jednopiętrowy pałac rządowy mieścić się będzie w centralnej części specjalnie na ten cel wydzielonej esplanady,

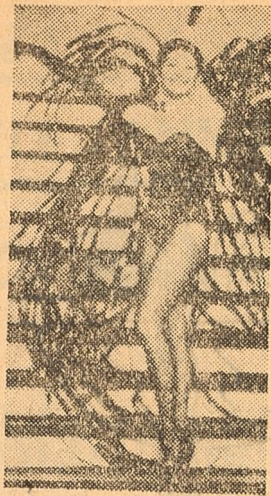
Integralną całości konstrukcji tworzą abstrakcyjne kariatydy. Na prawo od pałacu rządowego znajduje się rezydencja prezydenta, na lewo

ARCHITEKTURA

zaś siedmiopiętrowy hotel. Ponadto w zespole tym przewidziana jest kaplica.

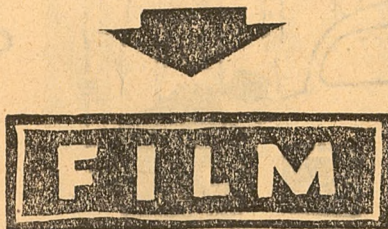
Również w trakcie realizacji są widoczne na zdjęciu MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W CARACAS i audytorium młodzieżowe.

Są to najbardziej typowe przykłady współczesnej architektury wyrażające siłę i rozmach sztuki XX wieku.



„FOLIES—BERGÈRES“

— barwny film rewiowy reżyserii Henri Decoin o miłości francuskiej tancerki i amerykańskiego żołnierza w kracjach Zizi Jeumaire i Eddie Coustantine i bogatej oprawie najświetniejszej od lat atrakcji Paryża „Folies-Bergeres“.



JAN KURCZAB

„PAN DOKTOR“

W moich szczenięcych latach, byłem członkiem „Bandy 13“. Już nie pamiętam, dlaczego symbolem naszym była trzynastka.

brony przed złem, do komory gazowej. W drodze opowiadał im bajki.

Gdzie szukać słów, które głębią swoją odpowiadałyby wymiarowi życia i śmierci tego człowieka?

Był kierownikiem dwóch domów sierot, żydowskiego i polskiego. Mieszkał z swoimi dziećmi, uczył je, wychowywał i leczył.

Przez wiele lat powojennych, postać Korczaka zasnawała się mgłą zapomnienia. Dzieci jego sierocińców wyrosły na dojrzałych ludzi, wielu z nich podzieliło okrutny los swojego wychowawcy.

Dziś cała prasa poświęca wiele miejsca pamięci Janusza Korczaka, drukarnie biją nowe nakłady jego książek, wybitni wychowawcy odwołują się do jego przykładu.

Dążeniem Korczaka było stworzenie w ośrodkach swojej pracy małego społeczeństwa dziecięcego, kierującego się własnymi, przystępnymi dla dzieci, założeniami.

Małe społeczeństwa sierocińców Korczaka posiadały własne samorządy, decydujące o sprawach dnia powszedniego.

i osiągnięciach swoich ośrodków, o wyrokach swoich sądów, o intencjach tych wyroków. Nie była to jednak społeczność wyizolowana z życia codziennego.

Doświadczenia swojego laboratorium wychowawczego przenośli Korczak na kartki książek. W ten sposób jego system wychowawczy nie pozostał bez wpływu na współczesnych.

Rezultatem pracy Korczaka była wiedza o dziecku, konsekwencją tej wiedzy — jego pisarstwo.

Jeden z wybitnych fachowców powiedział: — system Korczaka jest prosty i dlatego tak trudny do realizowania.

Wychowanie małego człowieka — to pewien rodzaj twórczości. Wymaga wkładu całego człowieka.

TRZY TWARZE JEDNEJ KOBIETY

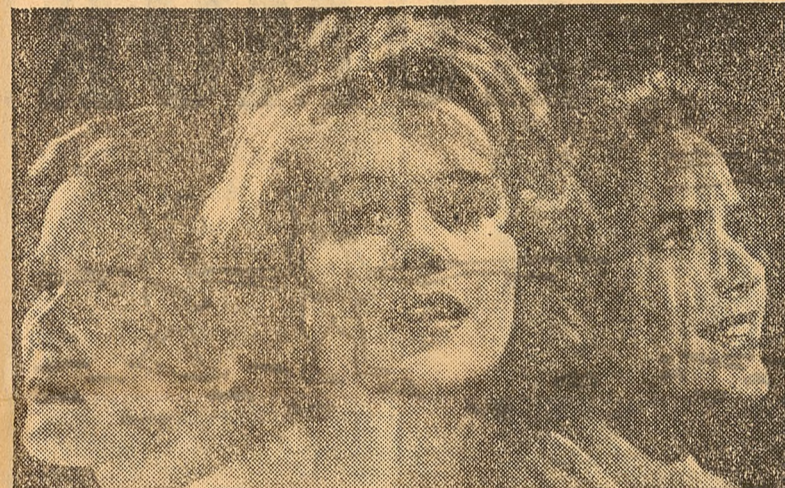
Niespełna dwa lata temu świat naukowy z napięciem śledził historię pewnej Amerykanki, u której stwierdzono wypadek ciekawego rozwoju jaźni.

kiedy stracili już zupełnie nadzieję na przywrócenie pacjentce jej poprzedniej osobowości, Ewa przemieniła się nagle po raz trzeci w miłą subtelną kobietę.

Historia EWY WHITE, jest obecnie filmowana z mało znaną amerykańską aktorką Joanną Woodward przez jedną wytworną, a z Eleanor Parker przez drugą.

Lekarze spodziewają się, że film oglądany przez Ewę White może pozwolić jej powrócić do swego ja sprzed kilku lat.

J. P.



Trzy twarze Ewy White (Joanna Woodward)

KIEDY NIEMCY DOGORYWAŁY

FRAGMENTY SŁYNEJ KSIĄZKI (II)

Streszczenie poprzedniego odcinka: W styczniu 1945 armia niemiecka znajduje się w położeniu katastrofalnym. Szef sztabu wojsk niemieckich — generałoberst Guderian — przewiduje na podstawie meldunków sytuacyjnych rozstrzygnięcie uderzenie armii sowieckiej.

gen. Christiana, a adiutanta von Puttkamera. Brak było Dönitza i Bormanna. Mądra głowa szefa sztabu rejonu „Południe“ przyjął od niego polecenie od odpychających, zamazanych rysów Himmlera.

Tuż po wejściu Guderiana zjawił się Hitler. Poruszał się ostrożnie jak zgrzybiały starzec. Powłóczył lewą nogą, a jego lewa dłoń drżała nieustannie jakby naelektryzowana.

Mój Führerze — rozpoczął Guderian — przyjechałem tu dzisiaj, by osobiście wyłożyć mój pogląd na sytuację, albowiem na podstawie posiadanych danych możemy stwierdzić z wszelką pewnością, że rosyjska ofensywa zimowa, której celem jest Berlin, rozpocznie się dnia 12 stycznia, a więc za 3 dni...

Kiedy samochód generałobersta Harpe, dowódcy frontu środkowego, zatrzymał się dnia 10 stycznia 1945 r. przed szkołą w Krakowie, gdzie znajdował się jego sztab, wyszedł mu naprzeciw jego szef sztabu gen. Xylander.

W 24 godziny potem, w nocy z dnia 11 na 12 stycznia, niesamowita cisza panująca ponad białymi śnieżnymi płaszczynami odcinka frontowego pod Baranowem, została przerwana gromotem zaporowego ognia artylerii sowieckiej.

Tego samego popołudnia sekretarz stanu w ministerstwie propagandy — Naumann, wygłosił w Poznaniu, przed wielotysięcznym tłumem Niemców, wielką mowę.

Ku czci Naumanna sprósł generał i zarazem namiestnik państwa i komisarz obrony państwa — Greiser do swego przwłotnego pałacyku Mariense pod Poznaniem grono wybranych gości.

ciał, by w ten sposób uratować Niemcy i Europę od barbarii Wschodu. Nie pozostaje nam nic innego nad złożenie podziękowań sekretarzowi stanu Naumannowi za ponowne zapewnienie wszystkim mieszkańcom Warthegau, iż noga bolszewickiej solidarności nie postanie na tej ziemi.

Urodzony w Środzie w r. 1897, był lotnikiem w czasie I wojny światowej, a potem kierownikiem taksonomii, został Greiser w r. 1928 członkiem partii hitlerowskiej.

Anton Riess, zastępca wójta, wracał po południu dnia 18 stycznia sankami z miasta powiatowego do swej wsi na wschodnim krańcu Warthegau.

Anton Riess, zastępca wójta, wracał po południu dnia 18 stycznia sankami z miasta powiatowego do swej wsi na wschodnim krańcu Warthegau.

ma nową zagrodę i stworzy tam sobie nową ojczyznę. Przewedrował z rodziną przez wiele lagrów w Niemczech, musiał długo czekać i wiele rzeczy wyglądało zupełnie inaczej niż sobie to wyobrażał.

„Wierzy pan rzeczywiście, że Rosjanie mogliby natrzeć? Toż to bluf — największy od czasów Dżengis-chana!“

„Wierzy pan rzeczywiście, że Rosjanie mogliby natrzeć? Toż to bluf — największy od czasów Dżengis-chana!“

Anton Riess zaciągnął czapę skórzaną głębiej na uszy i zabił ręce przytrzymując leżące między kolanami. Było zimno. Termometr przed Kreisamtem wskazywał 15 stopni.

(dalszy ciąg nastąpi)

TELE - ANKIETA

Co sądzimy
o
„Zdarzeniach”

Pewnego popołudnia z książką telefoniczną w ręku postanowiliśmy przeprowadzić kilka rozmów z mieszkańcami Krakowa. Rozmów tych było 41, z tego zaledwie 19 osób nigdy nie czytało „Zdarzeń” (jedna pani, tel. 206-21 obiecała: „zaraz kupię”).
Nasze pytanie brzmiało:
Co pan (pani) sądzi o „Zdarzeniach”? Co się panu (pani) w nich podoba, a co się nie podoba?

ADAMCZYK MIECZYSLAW TEL. 504-19.

Dla mnie „Zdarzenia” są ostatnio mniej ciekawe, mniej atrakcyjne. Może jest trochę za dużo materiałów naukowych. ABC Sztuki już trochę nudzi. A w ogóle to bym wolała, aby tygodnik był bardziej lekki. No i żeby koniecznie była krzyżówka.

BADURA STANISLAW, tel. 227-39

Odpowiada głos kobiecy.
Ze „Zdarzeń” można się dowiedzieć, co się dzieje na świecie, szczególnie cenne są wszystkie materiały mówiące o nowościach techniki i wynalazkach. Nie podoba mi się natomiast i to w sposób zdecydowany powieść Kwiatkowskiego.

CALIKOWSKI JAN, tel. 341-59

Odpowiada głos kobiecy.
Interesujący tygodnik, w którym szczególnie cenne są materiały popularno-naukowe. To są rzeczy bardzo pouczające. Ciekawa jest powieść, która odkryła tło i bagno w jakim żył i działał Mazurkiewicz. A braków na razie nie widzę.

CMIKIEWICZ JAN, tel. 500-09.

Ciekawy tygodnik, który z przyjemnością bierze się do ręki dla pożytecznego zabicia czasu. Natomiast uważam, że druk powieści o Mazurkiewiczu jest pomysłem zupełnie chybnym. Po prostu temat jest zbyt odrażający. Nie znaczy to, że nie lubię powieści kryminalnych, ale nie tak na żywo przeniesionych z życia.

DADAK ZBIGNIEW, tel. 230-65.

Bardzo ciekawe są felietony Drodzowskiego. Wiele w nich też polemicznych, a więc zmuszających do myślenia. To samo można powiedzieć o artykułach Lema. Bardzo celowe są ankiety, które w sposób wszechstronny naświetlają pewne problemy. Ale czytanie zaczynam od „Zdarzeń”. Nie podoba mi się natomiast szata graficzna i te całe strony maleńkich rysunków. A powieść jest rozwlekła i zajmuje stanowczo za dużo miejsca.

EFFENBERGER HALINA, tel. 581-93

Ciekawy tygodnik, który moim zdaniem za mało przeznaczają miejsca na problemy kulturalne i artystyczne. A są to przecież rzeczy bardzo istotne. Nie podoba mi się powieść o Mazurkiewiczu. Po prostu styl i ujęcie tematu nie odpowiadają mojemu poczuciu literatury.

FECZKO EMIL, tel. 220-62

Dobrze, że „Zdarzenia” zamieszczają opisy najnowszych osiągnięć z zakresu medycyny i techniki. Natomiast uważam że „Sztuka” jest pisana zbyt fachowo a więc niedostępnie dla szerszego ogółu czytelników. O powieści Kwiatkowskiego można powiedzieć tylko jedno słowo: brukowa.

GABRYL TADEUSZ, tel. 324-74.

Dobra szata graficzna i zły papier. Więcej złych rzeczy w „Zdarzeniach” nie widzę. Natomiast widzę wiele pozytywnych. Na przykład dobrze, że piszecie o sprawach bardzo często przemilczanych. Bardzo cenna była ankieta o sprawach życia seksualnego. Takich materiałów mówiących o problemach drażliwych trzeba jak najwięcej. No i za każdym razem z niecierpliwością oczekujemy na dalszy ciąg powieści o Mazurkiewiczu. Dobra, ciekawa, żywo napisana powieść.



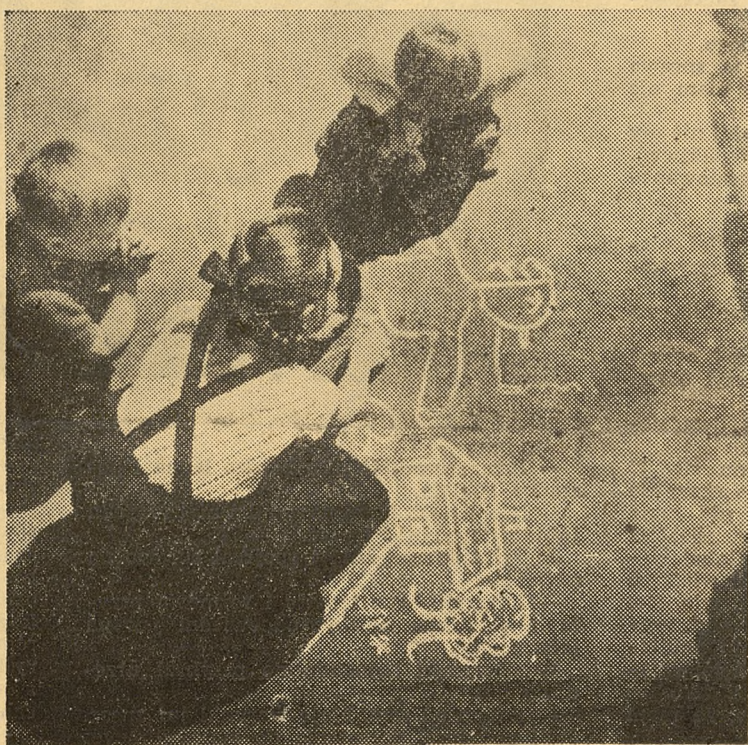
N A S Z
KONKURS
ZABAWY
DZIECI

W ostatnim tygodniu zostało nagrodzone zdjęcie nadesłane przez Bronisława Klemensa, Warszawa, Niepodległości 156 przedstawiające Krzysia K. Zdjęcie zatytułowano:

„Mamo, Tobie śpiewam tę pieśń...”



Zdjęcie wyróżnione reprodukowujemy poniżej. Nadesłał je p. Jerzy Kniagin, Nowa Huta.



Uwagi w sprawie konkursu

W związku z licznymi zapytaniem w sprawie konkursu wyjaśniamy, że zdjęcia winny być robione na papierze białym blyszczącym wielkości 6/9, 10/12, 13/18. Największą szansą mają zdjęcia ujmujące prostotę, niewypozowane, wzruszające i niebanalne. Niestety na wielu zdjęciach dzieci wyraźnie pozują. Gdy dziecko jest naprawdę zajęte zabawą, wtedy wychodzi na zdjęciu naturalnie. Im młodszy wiek, tym więcej w zdjęciu szczerości. Pojęcie zabawy u dziecka jest bardzo szerokie. Wiele jednak zdjęć nie ma nic wspólnego z zabawą, są to tylko portrety dzieci.

HACHAJ STANISLAW, tel. 245-25.

Mimo, że „Zdarzenia” nie są przeznaczone dla jakiegokolwiek grupy zawodowej zamieszczają dużo materiałów naukowych i technicznych. Ale wszystkie te materiały są tak przystępne, że mogą być zrozumiałe przez każdego. Za to powieść uważam za łatwinę, dla chwycenia czytelnika najmniej wyrobionego. Można to jednak osiągnąć powieścią bardziej wartościową. Tym bardziej, że obecna powieść pozostaje w rażącej dysproporcji do poziomu całego tygodnika.

JABCZYŃSKI JULIAN, tel. 206-44.

Odpowiada głos kobiecy.
To jest dobre, że materiał jest bardzo różnorodny i każdy znajdzie coś odpowiedniego dla siebie. Zbyt

natomiast mało materiałów krytycznych, które by mówiły o sprawach dnia codziennego, przede wszystkim o takim palącym problemie, jakim jest na przykład problem młodzieży.

KACZA JÓZEF, tel. 349-09

Jako lekarzowi podoba mi się wasz sposób poruszania problemów zazwyczaj przemilczanych. Zauważyłem już kilkakrotnie, że ludzie zazwyczaj zaczynają czytać „Zdarzenia” od ankiet. To wartościowe pozycje. W ostatnim jednak czasie zauważyłem materiały nie pierwszej wagi, nie najistotniejsze. To splota problematykę i obniża poziom pisma. Ale chyba nie zawsze można zachować najwyższy lot.

ROZMAWIAMY Z CZYTELNIKAMI

EUGENIUSZ MALISZCZAK, Kraków, Krowoderska 53/2. Cytujemy wyjątki Pańskiego cennego listu: „Jako stały czytelnik Waszego pisma szczególnie żywo interesujący się działem „Medycyna”, pragnę powiadomić, że zagadnienia medycyny są, że tak powiem, wielką pasją czytelników „Zdarzeń”. Cóż robić, ponoć medycyna to życie a ono najbardziej wszystkich interesuje i ciekawi. Odbывая często podróże dość niemało stoczyłem dysput z czytelnikami „Zdarzeń” na temat artykułów medycznych ukazujących się w Waszym piśmie. Część czytelników zwłaszcza generacja starsza (stanowiąca zresztą mniejszość) twierdzi, iż artykuły te są wcale... wcale dobre. Młodzież natomiast, że nazbyt suche i mało nawiązujące do życia”.

Pańskie cenne uwagi wzięliśmy sobie głęboko do serca. Prosimy o odwiedzenie redakcji celem nawią-

zania współpracy. Żywo reagujemy na każdą uwagę czytelników i wyścigamy natychmiast wnioski. To pomaga wielce w redagowaniu pisma.

ZBIGNIEW KWINTA, Rzeszów, Plac Garncarski 6. List Pana głęboko nas poruszył. Wysyłamy kilka poprzednich numerów „Zdarzeń” oraz przyrzekamy przez pewien okres czasu przysyłać bieżące numery gratisowo.

ZDZISŁAW MALINOWSKI, Kraków, Wadowicka 20. Jesteśmy zasympywni formalnie fraszkami. Właściwie moglibyśmy wydać cały numer „Zdarzeń” w którym wszystkie ważniejsze zdarzenia znalazłyby swoje odbicie we fraszkach. Pańskie utwory nie są jednak fraszkami. Jest to gatunek literacki bardzo trudny. Wielu początkującym wydaje się, że jest łatwy ze względu na krótkość. Jest to jednak złudzenie.

JESZCZE W SPRAWIE ROZWODÓW

W numerze 23 „Zdarzeń” w rubryce „Dyskusja i polemiki” — w sprawie rodziny” myśl moja została źle podana. Miało być: „Czy nie należałoby postanowić, by po 15—20 latach pożycia małżeńskiego już nie wolno było wnieść pozwu o rozwód, zwłaszcza jeśli są dzieci”.

W małżeństwie po 15—20 latach są dzieci przeciętnie w wieku od 10 do 18 lat. Najbardziej potrzebna jest wtedy atmosfera spokoju oraz troska obojga rodziców o kształtujący się charakter dojrzewającego człowieka. Nie mówię, że można opuszczać małe dzieci i wnieść o rozwód. Jestem w ogóle przeciwna rozwodom. Nie podałam też granicy lat współżycia małżeńskiego, kiedy kwestia rozwodu poczyniła by stosunkowo mniejsze krzywdy i spustoszenia.

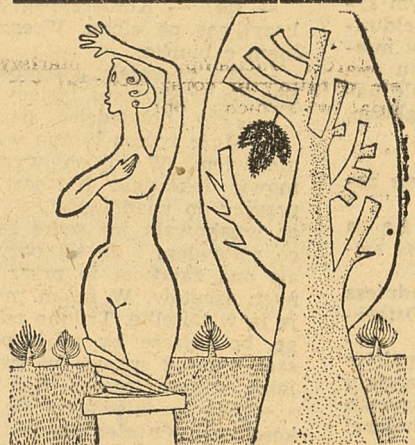
Podajam granice, kiedy już nie wolno wnieść pozwu o rozwód.

W przeważającej większości jest jedna tylko przyczyna rozwodów w późnym wieku: sprytna, niemoralna kobieta, która umiała usidlić starszego pana, często dla swoich materialnych korzyści i rozbić rodzinę. Gdyby dla tych panów nie było rozwodu, flirt skończyłby się po pewnym czasie. Pisząc do Was chciałybym oszczędzić wstydu i upokorzenia owym siwym, steranym życiem kobietom, porzuconym żonom. Często są to matki dorosłych dzieci albo dorastających. Najwyższy czas, aby poprawić kodeks rodzinny i naprawić ciężkie błędy, które spowodowały niedole rozbitych rodzin.

Le-ka

Dowcip tygodnia

Rys. J. LISICKA



„RUCH MUZYCZNY”

nr. 12 zawiera m. in.:

- K. Régamey:
- O Festiwalu SIMC w Zürichu
- M. Spisak:
- O Igorze Strawieńskim
- M. Dziewulska:
- Wspomnienie o W. Zuławskim
- I. Iwaszkiewicz:
- O Chopinie i Regerze
- Ankieta:
- U prognozy nowego sezonu operowego.
- Do nabycia w kioskach specjalistycznych „Ruch” i księgarniach muzycznych „Domu Książki”.

SYLWETKI ARTYSTÓW

NA ŻYCZENIE CZYTELNIKÓW



WIENCZYSLAW GLIŃSKI — aktor, od niedawna występujący w filmie w głównych rolach. Sukcesem, który zdecydował o jego popularności jako aktora filmowego, był udział w filmie „Sprawa pilota Marusza”, która to rola zdobyła mu wielkie uznanie widzów. W „Kanale” kreował rolę dowódcy kompanii „Zadry”.

Niedługo zobaczymy go w nowej polskiej komedii „Kapelusz pana Anatola”.

IDZIKIEWICZ WŁODZIMIERZ, tel. 509-32

Słyszałem w Komitecie Rodzicielskim, że nie zawsze są w „Zdarzeniach” materiały wskazane dla młodzieży. Ja takich nie zauważyłem i uważam, że jest to sprawa do dyskusji.

LABE JAN, tel. 200-15.

W każdym numerze poszukuję artykułów Stronickiej. Uważam je za bardzo ciekawe i celowe pozycje. Pozostając przy tematyce obyczajowo-kryminalnej muszę stwierdzić, że nie podoba mi się powieść o Mazurkiewiczu. Za poważny to temat do takiej sobie sensacyjnej opowiastki.

Telefonicznie rozmawiał ZDZISŁAW WRÓBEL

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(21)

— Więc ty słyszałeś to też o nas.
— Tak ludzie opowiadają.
— Coś takiego! Nie zdarzyło mi się.
— Tobie przecie tego nie powiedzą w o-
czy.
— Rany boskie, to okropne. Jakby się o
tym dowiedział mój ojciec...

— Ludziom nie zamkniesz ust.
— Ale ty chyba nie wierzysz?
— Różnie bywa, mój drogi, różnie bywa.
— Daję ci słowo — Jagiński uderzył się
w piersi.
— No, chodźmy już. Mam pilny interes.
Jagiński wyszedł pierwszy z garażu cięż-
kim, zmęczonym krokiem. Mazurkiewicz
zamknął starannie drzwi i poszli w stronę
przystanku tramwajowego.

W milczeniu minęli przecznicę i przeszli
przez skwer. Na przystanku Jagiński pocze-
stował Mazurkiewicza Lucky Strikiem i po-
dając mu ogień spytał cicho.

— Gniewasz się na mnie?
— Nie mam za co.
— Nie chciałbym, żebyś się gniewał. Zawsze
żyliśmy w przyjaźni. Przyszedłem do ciebie
jak do przyjaciela, żebyś mi coś poradził.
Naprawdę moja sytuacja jest nie do
pozazdroszczenia.

— Rozumiem cię.
— Odpowiadasz mi tak jakbyś był zagnie-
wany. Wiadek, bądźże rozsądny. Chodź pójdzie-
my gdzieś na wódkę. Cóż mi pozostało
więcej. Korzystać jeszcze z wolności.
Mazurkiewicz uśmiechnął się ironicznie.

— Możesz nawiać.
— Łatwo powiedzieć. Mam znajomego sę-
dziego, który oświadczył mi, że przy tym sy-
stemie policyjnym, przy obowiązku meldun-
kowym, przy tym zagęszczeniu ludzi w mie-
szkaniach nie ma mowy o ukrywaniu się.
To nie okupacja. — Jagiński uderzył się
nagle po ustach. — Cholera, mówię tak głośno,
jakbym nie stał na ulicy.

Mazurkiewicz zniżył głos.
— A ja ci mówię, że można się dobrze za-
dekować.

— Ale co to za życie. Ukrywałem się za
Niemców i wiem jak to wygląda. Lepiej sie-
dzieć w kryminalu.

— Więc czego się boisz? Nie podpadniesz
im, to dobrze, zlapią cię, posiadzisz. Ostatec-
nie nic ci takiego nie grozi.

— Ba — sapał Jagiński — będę spalony
w całej Polsce, nie mówiąc już o skandalu
rodzinnym. Po jaką cholere ja w to wszystko
właziem. Pieniądzy mi się zachciało, cholera!
— Rzuc pracę. Ojciec cię utrzyma.

— Za dwa tysiące miesięcznie. Ładnie by
to wyglądało.

— To już nie wiem o co ci chodzi. Tak źle
i tak niedobrze.

— A żebym ja to sam wiedział o co mi
chodzi. Mam pietra i wszystko mi się kręci
we łbie.

Nadjechał tramwaj. Mazurkiewicz wycią-
gnął rękę do Kazia, który czekał na inny nu-
mer. Jagiński ucisnął go z czułą wylewno-
ścią.

— Nie masz do mnie żalu?
— No, nie mam. Cześć.
— Pamiętaj. Nie chciałbym, żebyś się gnie-
wał.

Mazurkiewicz podniósł rękę do czoła na
znak pożegnania i wskoczył do wozu. Jagi-
ński stał chwilę i patrzył aż tramwaj zniknie
w perspektywie ulicy. Potem zaczął się prze-
chodząc po przystanku. Wyjął notes i prze-
glądał notatki. Wreszcie zniechęcony próż-
nym czekaniem zatrzymał przejeżdżającą
taksówkę i kazał się zawieźć na ulicę Sław-
kowską.

Mecenas Koniecznyński urzędował w lokalu
Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlane-
go. Siedział za biurkiem i czytał Gazetę Kra-
kowską dłubiąc końcem ołówka w ucho.
Kiedy oznajmiono mu, że ktoś chce się z nim
widzieć, odłożył ołówek, gazetę wrzucił do
szuflady i rozłożył przed sobą kilka teczek
z aktami.

— Proszę!
Do pokoju wszedł Jagiński. Adwokat wstał
zza biurka z wyciągniętymi ramionami.

— Patrzcie, patrzcie, co za wizyta? Pew-
nie chodzi o alimenty, co? — przymrużył je-
dno oko i starał się być dowcipny.

— Tak, wpadłem — rzekł Jagiński, wy-
ciągając paczkę papierosów.

— Przebac, że tak cię przyjmuję — po-
wiedziała Koniecznyńska wskazując na biurko,
— ale jestem zapracowany. Inaczej wypad-
libyśmy na jakąś kawę.

—

— Nie zabiorę ci dużo czasu. Co u ciebie?
Adwokat poskrobał się po szyi.
— Do de Alfons Daudet, jeśli chcesz że-
bym ci odpowiedział po literacku. A u cie-
bie?

— Mam kłopoty.
— Ooo! to niedobrze.
— Przyszedłem, żebyś mi co poradził.

— Służę ci oczywiście. — Koniecznyński u-
siadł urzędowo za biurkiem i oparł się łok-
ciami o blat kierując uważny wzrok na Ja-
gińskiego.

— Wpadł jeden z moich dostawców do ko-
misu. To jego sprawa. Szukam jakichś moż-
liwości wyłudzenia go z opresji.

— Na czym wpadł?
— Szmugiel.
— Niedobrze! — skrzywił się Koniecznyń-
ski — wszystko tylko nie szmugiel. Są obo-
strzone przepisy.

— Wiem, że niedobrze, ale coś trzeba za-
radzić.
— Gdzie sprawa?

— Nie wiem. Pewnie w UB.
— W UB? Chyba nie. Oni mają inne sprawy
na głowie. Ale może i w UB. Różnie by-
wa.

— Czy nie znasz kogo co by miał jakieś
chody.
— Sam mam chody — oświadczył nie bez
dumy Koniecznyński.

— Tak sobie też pomyślałem. Nikt inny
tylko ty. Ma się przecie dobrych i zdolnych
przyjaciół.
— Dziękuję. Możesz na mnie zawsze liczyć.
Siedzi?

— Od dwóch dni.
— Gdzie?

Jagiński rozłożył bezradnie ręce.
— Przyszli do niego do domu. Zonie oświa-
dzczyli, że zaraz wróci. Nie ma go do tej pory.

— Najpierw trzeba wiedzieć, gdzie siedzi.
Po tym zorientujemy się jak sprawa wygła-
da i kto ma ją w swojej gestii. To pierwsze
zadanie. Potem zastanowimy się co dalej.

Jagiński przyglądał się swoim paznokciom.
Powiedział nie podnosząc oczu.

— Boję się, żeby tymczasem nie zaczął sy-
pać.

— Aha, masz z tym coś wspólnego.
— Mam i nie mam. Akurat z tą sprawą
za którą został przytrzymany nie mam nic
wspólnego.

— Nie bój się. Sledztwo trwa dłużej niż my
sądzimy. Zaczniemy zatem od poszukiwań.
Może to nie takiego. Czy żona aresztowane-
go dysponuje jakąś gotówką?

— Naturalnie.
— Pytam się, bo muszę mieć jakieś pie-
niądze na wstępne koszty. Dziś te rzeczy ko-
sztuja.

— Ile? — Jagiński spojrział nieufnie na
adwokata.

— Ile? — Koniecznyński przymknął oczy i
liczył coś po cichu. Wreszcie uderzył olów-
kiem o biurko.

— Na początek potrzeba jakieś dwadzie-
ścia do trzydziestu tysięcy.

— Żeby dowiedzieć się gdzie on siedzi?
— Może trzeba będzie więcej! Na razie nic
nie wiem. W takich wypadkach nie lubię
mówić dokładnie. Nie jest to dużo, zechciej
przyjąć do wiadomości. — Matka Goladzkie-
go wpakowała już setkę żeby się dowiedzieć
co z Pawłem i do tej pory nic nie wie. No,
ale ona załatwia to przez jakichś podejrze-
nnych facetów. W moim przekonaniu nabija-
ją ją w butelkę. Trudno mi zwrócić jej uwa-
gę, bo jeszcze by sobie pomyślała, że chce
sam przejąć sprawę w swoje ręce, że mam
jakis w tym interes. No, więc?

— Nie spodziewałem się, że będzie to tyle
kosztować. Ostatecznie to tylko drobna in-
formacja. — Jagiński gładził włosy. Kroplicy
pot osiadł mu na czole.

— Człowieku! — wykrzyknął Koniecznyń-
ski — nie zdajesz sobie sprawy ile warta ta-
ka informacja. Nawet dla ciebie ile warta.
Toż to połowa sukcesu. Zaraz wiadomo z ja-
kiej strony uderzyć. A tak! Siedzisz jak ta-
baka w rogu. Nie namawiam cię, ale miałem
już takich spraw kilkanaście i mam duże
doświadczenie.

— A niech to cholera! — Jagiński otarł
się chustką — taka furja pieniędzy.

— Róbcie jak uważacie. Ja inaczej nie
mogę. Chcesz to ci wyliczyć ile muszą kosztować
pośrednicy. Bo do źródła inaczej nie trafisz.
To szkoda w ogóle gadać. Pan X apli-
kant sądowy bierze piątkę. Ma on znajomego
w prokuraturze. Musi mu dać piątkę. Tamten
zna wysoko postawioną osobę w milicji. I ta
kosztuje dziesiątka. Dalszy dziesiątek
bierze facet mający wiadomości o wszystkich
aresztowanych, o wszystkich dochodzeniach,
o... jakby ci tu powiedzieć, no o wszystkim
co się dzieje w Krakowie. I wypadła trzydzie-
ści tysięcy bez mojego zarobku. W tym wy-
padku ja się nie liczę, bo robię to dla ciebie.
Innych by to kosztowało żdziebko wię-
cej.

— Dziękuję ci — rzekł Jagiński — wiem,
że jesteś porządnym chłopem.

— Nie ma o czym mówić. Uprzedź więc
zonę tego faceta i jak się zgodzi, wtedy po-
gadamy. Dobrze?

— Obawiam się, że ja to będę musiał za-
płacić — westchnął Kazio Jagiński.

— Pytałem ci się czy żona ma pieniądze?
— Ma. Pewnie, że ma. Ale, wiesz, to skom-
plikowana afera.

— Na to już nic nie poradzę. Żal mi cię
bardzo. Takie rzeczy dzisiaj kosztują. Tam-
ci więcej przykują niż ty, bądź pewien. Na-
mów babę, niech ruszy sakwą rodzinną.

Jagiński zaczął chodzić po pokoju. Konie-
czyński wodził za nim wzrokiem nie przery-
wając mu skupienia.

— Widzisz — rzekł Jagiński uderzając dło-
nią po spodniach — żona tego faceta nie bar-

dzo się martwi aresztowaniem męża. Zosta-
wił jej majdan forsy i wolność. Nigdy się nie
kochali. Obawiam się, że zechce skorzysta-
ć ze sposobności...

— I prysnąć z gotówką, co? — Koniecznyń-
ski zaśmiał się głośno. — Oj, te kobiety, te
kobiety!

— Może nie prysnie, ale nie ruszy palcem
aby mu pomóc. Obowiązek ten spadnie na
moje barki.

— Pogadaj z nią! Albo wiesz co, mam po-
mysł. Przyślij ją do mnie. Już ja ją namówię.
Przedstawię jej ewentualności, jakie czekają
męża i ją jako jego współniczkę, gdy przyjdzie
co do czego. Ręczę ci, że baba wyłoży
gotówkę z pocałowaniem ręki.

— Nie znasz jej.
— Każda da się nastraszyć. Trochę psy-
chologii i będzie zrobiona na cacy.

— Kiedy to nie jest w jej interesie. Ona...
ona...

— Co ona?
Jagiński uśmiechnął się bezbarwnie.

— Ona chce żeby ja się z nią ożenił. Już
wiesz?

— Więc ty i ona? — Koniecznyński dostał
ataku śmiechu, w oczach pojawiły mu się
łzy. Śmiał się odwracając głowę od Jagiń-
skiego, który siedział za biurkiem z niewy-
rażną miną.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — po-
wiedział po chwili niezdecydowanym tonem.

— Wybacz — śmiał się Koniecznyński — ale
to zabawna historia. Ona chce żeby mąż sie-
dział, a ty żeby jak najszybciej wyszedł i to

wała oczywiście, że nie dostrzegła, iż z wy-
mienieniem jego nazwiska, Kamaszowska i
Kwasiburska bacznie wyteżyły swą uwagę.
Beztrąsko oznajmiła wszystkim, że Ma-
zurkiewicz kocha się w Jaspisowej i że nie
przysięga by, czy nie są już po słowie.

— Ech, co ty mówisz — Kamaszowska nie
wytrzymała wruszając ramionami. — Prze-
cież Mazurkiewicz jest żonaty.

— Mówię co widziałam — rzekła obojęt-
nie Łarska — a słyszałam o tym grubo wcze-
śniej. Coś się mają ku sobie, na to przysię-
nę.

— Ależ ona jest o wiele starsza od niego
— Zuza nie dawała za wygraną. — Gdzieżby
on ją chciał?

— A ja powtarzam, że pewnego dnia wy-
buchnie bomba i zobaczymy pana Władzia
na ślubnym kobiercu.

Maryjka Linkowska zaczęła się głośno
śmiać.

— To ci heca! Zuza, słyszysz?
Kamaszowska zrobiła minę jakby ją to nic
nie obchodziło.

— Niech się żeni. Życzę mu szczęścia.
— Z taką starą babą?

— Widać w takich gustuje — odpowie-
działa Kamaszowska kierując to zdanie do
Linkowskiej.

Maryjka zatrzepotała rękami i rzekła si-
ląc się na spokój.

— Na mięcie opowiada się, że zagiął pa-
rol na ciebie.
— Na mnie? — Kamaszowska wybuchnę-



zapewne z dwóch względów, żeby nie wpaść
podwójnie.

— Przepraszam cię. To bardzo ładna i po-
rządna kobieta.

— Nie wątpię. Mam nawet dla niej respekt,
że pragnie wybrać lepsze.

Jagiński odchrząknął i spojrział surowo na
adwokata.

— Zboczyliśmy z tematu i rozmowa przy-
brała charakter niezbyt odpowiedni jak na
taką chwilę.

Koniecznyński momentalnie przybrał urzę-
dowy ton.

— Zatem ad rem. Moje warunki już znasz.
Jeśli zażadasz, przystąpię do sprawy nawet
jutro. Na razie więcej nic nie mogę pora-
dzić.

— Muszę się zastanowić. Jutro dam odpo-
wiedź. I proszę o dyskreję.

— O, co do tego nie miej żadnych obaw.
Adwokat, jak ksiądz jest związany tajemnicą
swego zawodu. Czekam odpowiedzi.

— Do widzenia.
— Powiem ci jeszcze na pożegnanie pe-
wien kapitalny dowcip. Na pewno go jeszcze
nie słyszałeś.

Jagiński zerknął na zegarek.
— Niestety, spieszę się. Powiesz mi jutro.
— Żebym tylko nie zapomnieli, bo napraw-
dę szkoda.

— Przypomnę ci. Do widzenia.
*

W piątki po południu Lilka Kosma, Jolka
Kwasiburska, Zuza Kamaszowska, Kasia Ma-
dycka, Maryjka Linkowska i Lola Łarska
spotykały się w kawiarni Noworolskiej na
Sławkowskiej.

Ta „babska nasiadówka”, jak mówił o tych
zebraniach inżynier Linkowski trwała zawsze
kilka godzin. Często bowiem kobiety znużo-
ne rozmową kończyły spotkanie w jakimś
barze i dobrze podchmielone wracały do do-
mów.

Tym razem Łarska przyniosła rewelację o
przyjęciu u Jaspisowej. Przyjaciółki słu-
chały jej opowiadania z zapartym tchem. Łar-
ska komentowała zdarzenia, w których bra-
ła udział z cynicznym uśmiechem, malując
przed podnieconymi kobietami wizje wyszu-
kanych orgii. Tylko Kasia Madycka chicho-
tała cicho, widząc jakie wrażenie sprawia
relacja Lolli. Madycka znała doskonale Łar-
ską jeszcze sprzed wojny, obydwie bowiem
pracowały kilka lat jako fordanserki w „Fe-
niksie” i wiedziały, że nie się ostoł przed
językiem przyjaciółki. Pozostałe panie z wy-
piekami na twarzy, głęboko pochylone nad
stolikiem przeżywały w pełni sprawozdanie
z domu Jaspisowej.

Łarska specjalnie długo przygotowywała
grunt w swoim opowiadaniu, zanim wpo-
wiedziała do niego osobę Mazurkiewicza. Uda-

ła sztucznym śmiechem — nie zauważyłam
tego.

— No, no, Zuza, nie kłam! — Lilka po-
groziła jej palcem — wiemy coś o tym.

— Dziwne, bo ja nie — odciała się Zuza —
również dobrze każda z was może być o to po-
sądzona. Na przykład Jolka. Była z nim ostat-
nio w teatrze. A czy ja mówię, że Jolka chce
osiądlie? Była to była. U nas jak się zobaczy
kogoś razem, od razu sąleje plotka, że nowy
romans, że miłość i w ogóle. Dlatego ty Ma-
ryjko masz najmniej do powiedzenia w tej
sprawie. Co cię łączyło z Mazurkiewiczem
całe miasto wie.

— Było i skończyło się — Maryjka za-
łożyła wysoko nogę na nogę i nonszalancko
zapaliła papierosa.

— Moje panny — rzekła Jolka Kwasibur-
ska — gdyby ktoś nas podsłuchiwał, myślał-
by, że wszystkie kochamy się w tym panu.

— Ja? — uderzyła się w piersi Lilka Ko-
sma. — Przenigdy. Lubię wysokich, zde-
cydowanych blondynów.

— Zejdźmy z tematu! — klasnęła w dło-
nie Madycka. — Jeszcze dostanie krosty na
języku.

— Czepiliście się mnie, nie wiem dlacze-
go — powiedziała Kamaszowska. — Same
widzicie, że pan Mazurkiewicz prowadzi dość
bujne życie, jak nam to przedstawiła Lola
i żadna z nas nie odgrywa w nim najmniej-
szej roli.

— To mnie nawet trochę zasmuciło —
westchnęła Madycka — tyle młodych babek
i żadna nie warta grzechu.

— Warta, warta, nie martw się — oświa-
dzczyła Jolka — nie zamieniłabym się z panią
Jaspisową.

— Ja też nie! — wykrzyknęła Maryjka tak
głośno, że ludzie z sąsiednich stolików spoj-
rzeli na nią z zacięciem.

— Prawdę mówiąc — powiedziała po ci-
chu Kosma — nie wiem co widzi w nim się.
Mały, niezbyt ubrany, ma duże, nieforemne
reca. Żeby jeszcze o niczym nie świadczą —
dodała dwuznacznie.

— I skrzyty! — dopowiedziała Madycka.
— Ja już wolę Kamaszowskiego, no nie Zu-
za? Chłopak jak szóstka.

— Dajcie mi spokój. Lola, zamordowałaś
dzisiejsze spotkanie.

— Czegóż chcesz ode mnie?
— Widzisz, że nie potrafia dzisiaj mówić
o niczym innym jak tylko o Mazurkiewicz.

— Nie przypuszczałam, że on taki krewki
— pokręciła głową Kasia. — Z tego co opo-
wiedziała Lola wynika, że i trochę zepsuty,
co? A my lubimy zepsutych mężczyzn, nie
ma co ukrywać. Przynam się, że zaimpono-
wał mi chłopczyk, chociaż wolę Kamaszow-
skiego.

Wszystkiego roześmiały się. Łarska uciszyła
je ruchem ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi)